

NAOMI HORTON

PORTRET LORDA PIRATA

PROLOG

- Mój plan ma oczywiście swoje ale. Jeden drobny szkopał...

Oczywiście. Garrett uśmiechnął się cierpko. Zawsze znajdzie się jakiś szkopał.

Nabrał głęboko powietrza, przełożył słuchawkę do drugiej ręki, żeby zyskać trochę czasu do namysłu. Żadna zdecydowana odpowiedź nie przychodziła mu do głowy.

- Mianowicie? Nie po raz pierwszy przekonywał w duchu samego siebie, iż postępuje właściwie, że niczego nie ryzykuje. A jeśli kłeska tej zwariowanej intrygi skrupi się na nim? Wyjdzie na kompletnego głupca... którym zapewne jest.

- Ona nie może się dowiedzieć prawdy. Nigdy.

- Chyba nie mówi pani poważnie... - Garrett zdjął nogi z biurka i wyprostował się powoli, z na wpół zamkniętymi oczami.

- Śmiertelnie poważnie, młody człowieku - odpowiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Moja cioteczna wnuczka za nic nie może się domyślić, że taka rozmowa miała miejsce. Mówiąc jasno: propozycja, którą złożyłam panu tydzień temu, pozostanie naszą słodką tajemnicą. To mój warunek.

- Cholernie trudno będzie go spełnić.

- Mój Boże! Mężczyźni okłamują kobiety nagminnie, niemal z natury rzeczy. Zwłaszcza w sprawach sercowych. One zaś nałogowo, nie wiedząc czemu, zakochują się w nich bez wzajemności. Gardziłam tym stanem rzeczy otwarcie, przez całe moje życie, teraz jednak... - zaśmiała się chytrze - spróbuję tę smutną wiedzę wykorzystać. W naszym wspólnym interesie. Swoją drogą, panie Jameison, gdybym nie wierzyła od początku, że potrafi pan spełnić trudne warunki, nie wybrałabym pana, tylko...

- Chyba lepiej by się stało, gdyby zaszczyliła pani swoim zaufaniem kogoś innego...

- Czyżby strach pana obleciał?

- Powiedzmy, że zrobiło mi się zimno, lady D'Allaird.

- Bertie, jeśli łaska - odparła uprzejmym tonem. - Tak się do mnie zwracają wszyscy znajomi. A więc chciałabym wiedzieć, panie Jameison, czy skłonny jest pan zawrzeć ze mną umowę, czy też nie. Jeśli nie, zapominamy o całej sprawie i nie wracamy do tematu. Moja lista kawalerów nie kończy się, rzecz jasna, na panu.

Zabawne, ale do głowy mu nie przyszło, że jest tylko jedną z wielu „grubych ryb”, na które Bertie zarzuciła swoją wędkę. Zastanawiał się teraz, czy wybrała go na pierwszy ogień, czy rozmawiała już z setką innych facetów, którzy jej odmówili.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej - mruknął - bo na razie, mówiąc szczerze, niewiele z tego rozumiem.

- Plan jest prosty - westchnęła z ulgą. - Ożeni się pan z moją wnuczką, C. J. , i dostanie ode mnie kontrolny pakiet akcji Parsons Industrial. Ma pan zapewne jako takie wyobrażenie o wartości firmy...

Dziadowski interes, zakpił w myśli, jakieś pół miliarda, nie więcej. Łącznie z handlem zamorskim i kopalniami w Ameryce Południowej. Skórka za wyprawkę.

- O tak! Trudno przecenić jej wartość. Dlatego zastanawiam się... w co ja się tak naprawdę pakuję.

- Czyżby dręczyło pana podejrzenie, że usiłuję sprzedać kota w worku?

- Muszę przyznać... że i ta myśl przemknęła mi przez głowę.

- A więc wszystko pan dokładnie sprawdził. Nie rozmawiałby pan teraz ze mną, gdyby było inaczej, prawda, panie Jameison?

Garrett rozplątał się w uśmiechu. Przełożył słuchawkę z powrotem do lewej ręki, a prawą zaczął rozwiązywać krawat.

- A skąd pani czerpie pewność, że może mi ufać? Żadnych obaw, że kiedy tylko przejmę firmę, rozwiodę się z C. J. , a mój sprytny adwokat postara się, żebym niczego nie stracił? Albo że zacznę ją maltretować psychicznie i poczekam, aż sama poprosi o rozwód? Na zdrowy rozum, strasznie pani ryzykuje.

- Pan mnie najwyraźniej nie docenia, panie Jameison - roześmiała się. - Nie wystarczy być przystojnym, żeby wejść do naszej rodziny... toteż sprawdziłam nie tylko pana powierzchowność, proszę mi wierzyć. Po pierwsze, żaden głupiec ani przeciętniak nie zaszedłby tak daleko jak pan. Po drugie, znam pana ojca.

A dziadka jeszcze lepiej. Jest pan kutym na cztery nogi biznesmenem, czasami nawet bezwzględny, ale nie bez poczucia honoru. Jeżeli zostanie pan mężem C. J. , będzie pan ją traktował z szacunkiem, a z czasem, jak Bóg da, może nawet z odrobiną uczucia. Wolałabym odejść z tego świata ze świadomością, że ktoś taki jak pan opiekuje się moją wnuczką, dba o jej bezpieczeństwo - zamiast ryzykować, że dziewczyna zakocha się w byle kim.

Garrett starał się zebrać myśli, rozpinając nerwowo guziki koszuli. Kiedy kilka tygodni temu Bertie D'Allaird zadzwoniła po raz pierwszy, żeby przedstawić mu swoją dziwną propozycję, nazwał ją w duchu starą, zwariowaną ekscentryczką. Ale z drugiej strony... Cóż, zdziwiłby się bardzo, gdyby dziedziczka bajecznej fortuny Augustusa Parsonsa okazała się skromną starszą panią.

Mimo że przekroczyła siedemdziesiątkę, wspomnienia o jej miłosnych podbojach ożywiały rubryki towarzyskie popularnych magazynów. Wychodziła za mąż cztery albo pięć razy. Była za pan brat z możnymi tego świata - książętami, hrabiami, prezydentami - wśród jej przyjaciół zdarzały się nawet koronowane głowy. Kroczyła jak burza przez najznakomitsze salony Europy oraz Ameryki i - jeśli wierzyć plotkom - rzadko omijała przyległe do nich sypialnie. Mieszkała teraz w Paradise Island - majątku rodzinnym położonym nad bajeczną zatoką, doprawdy godnym swojej nazwy. Kilka lat temu ni stąd, ni zowąd zaczęła pisać... Jej historyczne romanse okazały się tak poczytne, że nazwisko lady D'Allaird znalazło się na listach autorów bestsellerów książkowych w całej Ameryce.

- Dobrze wiem, o czym pan myśli. Stara zwariowana baba miesza rzeczywistość z akcją własnej powieści, czyż nie tak?

Garrett oniemiał. Tak! Tak właśnie pomyślał: że starsza pani zagubiła się w świecie wydumanych romansów. Albo że zabiera się do napisania następnej książki, której on oraz C. J. będą bohaterami.

- Istotnie... w pierwszej chwili...

- Przepraszam, na czym to skończyliśmy? Staję się coraz bardziej roztargniona... Sama nie wiem, czy winić za to starość, czy wybujałą wyobraźnię. Pewnie jedno i drugie... Aha! Chciał mi pan zadać pytanie, prawda?

- Owszem. - Garrett uśmiechnął się. - Zasadnicze pytanie: po co ten cały spisek? Pragnie pani wydać C. J. jak najbezpieczniej za mąż. Zgoda. A więc ja na pani miejscu... jakkolwiek zabrzmiałoby to śmiesznie... przedstawiłbym jej doborową stawkę kawalerów i czekał, aż przemówi instynkt.

- Wszystko cacy - odparła cierpko - tylko że jej instynkt śpi, a mnie się po prostu spieszy.

Garrett milczał przez chwilę, zastanawiając się, co też jeszcze starsza pani chowa w zanadrzu.

- Bóg mi świadkiem - westchnęła nagle - że próbowałam. Przez nasz dom przewinęła się cała armia młodych, sensownych ludzi - wszystko na nic. Moja cioteczna wnuczka jest... romantyczką. - Ostatnie słowo zabrzmiało jak najcięższe oskarżenie. - Ma własne, fantastyczne wyobrażenie na temat małżeństwa i miłości. Nie dość, że buja w obłokach, to sama nie wie, czego chce.

- Pani zaś wie doskonale.

- Oczywiście! Idealnym mężczyzną dla mojej wnuczki jest pan, panie Jameison.

- Przecież się nie znamy...

- Proszę mi wierzyć: ma pan wszystko, czego młoda kobieta może oczekiwać od męża. Swoją drogą, żałuję, że dzielą nas pokolenia... Gdybym była w wieku C. J. !

- Wątpię - powiedział oschle - czy mógłbym wtedy liczyć na pani stałe względy.

- Może i nie - zaniósła się głośnym śmiechem - ale zabiegałby pan o nie z bijącym sercem. I nie bez przyjemności.

- Na pewno.

- Wróćmy jednak do rzeczywistości - powiedziała nadzwyczaj miękko. - Najwyższa pora, żeby taki mężczyzna jak pan przestał się marnować. Och, znam dobrze pana reputację! Zawsze jakaś piękność u boku, rzadko jednak ta sama. Jest pan znakomitą partią, panie Jameison, ale rogata dusza nie pozwala panu się ustatkować. Mam niejasne podejrzenia... że zawdzięcza pan tę cechę ojcu. Nie, nie! Nie będziemy drażnić tematu, bo to doprawdy nie moja sprawa.

Palce Garretta zacisnęły się kurczowo na słuchawce. Oddychał głęboko z zamkniętymi oczami.

- Rzecz w tym - ciągnęła spokojnie - że zbliża się pan do wieku, w którym mężczyźni odkrywają kruchość ludzkiej kondycji. Mówiąc dosadnie - własną śmiertelność. Samotni zaczynają myśleć o małżeństwie, żonaci o rozwodzie - jeśli nie wpadli na to wcześniej. Zaczynają przejmować się łysiejącym czołem, drobną nadwagą, cholesterolem, gasnącą młodością i rozwianymi marzeniami. Jeśli są bezdzietni, zaczynają marzyć o potomstwie, żeby zostawić na tej ziemi własny ślad - zachichotała cicho. - Proszę zaprotestować, jeśli nie mam racji.

- Ma pani świętą rację - roześmiał się mimowolnie, chociaż jej celne, gorzkie słowa nie budziły rozbawienia. - Podziwiam pani szczerość...

- ... którą mi pan wybaczy, mam nadzieję. Cóż, nie będę pana zanudzać domysłami na temat pana życia osobistego. Nie zapytam, dlaczego nie wierzy pan w miłość. Jestem przekonana, że, jak każdy zwyczajny człowiek, ma pan poczucie własnej słabości. Potrzebny panu domowy azyl, a ja bardzo pragnę, żeby moja wnuczka wyszła za mąż za właściwego człowieka. Ot co. Wilk będzie syty i owca cała. Może nawet szczęśliwa...

- Wróćmy jednak do drobnego szkopułu. Co będzie, jeśli ona dowie się prawdy?

- Ode mnie nie dowie się tego nigdy - odparła bez zastanowienia, tonem, w którym, być może wbrew jej własnej woli, czaiła się groźba.

- I naprawdę sądzi pani, że to się uda?

- Musi się udać, panie Jameison - jej głos nagle złagodniał. Garrettowi wydał się niemal tkliwy. - Wbrew temu, co pan sądzi, nie jestem czarownicą. Kocham swoją wnuczkę

jak nikogo na świecie. Dla jej dobra zrobiłabym wszystko. Ale niestety, starzeję się... Między nami mówiąc, zbliżam się do kresu, dlatego boję się o nią jak nigdy dotąd.

Ostatnie zdanie Bertie wypowiedziała z rozdrażnieniem, jakby starość dostarczała jej więcej powodów do irytacji niż lęku.

- Zabrałam C. J. do siebie, kiedy zginęli jej rodzice, i traktowałam jak własne dziecko. Dorastała tutaj, na Paradise Island, naiwna i czysta - bo jakaż mogła być na tym rajskim odludziu? Wiem, że popełniłam błąd. Nie powinnam była zamykać jej pod kloszem, odcinać od normalnego świata. Chroniłam ją przed złym światem w dobrej wierze, a teraz ciężko tego żałuję. Nie da się cofnąć czasu i naprawić tej głupoty, ale chciałabym... chociaż umrzeć ze świadomością, że ktoś zadba o to dziecko, kiedy mnie zabraknie. To proste.

Proste? Garrett omal nie wybuchnął śmiechem. Cała ta cholerna intryga (jeśli nie wycofa się w porę) będzie najbardziej karkołomnym wyczynem w jego życiu. Fuzje przedsiębiorstw, przejmowanie kontroli nad bankrutującymi firmami, wzbudzanie sztucznego popytu na giełdzie - to są proste sprawy. Kaszka z mlekiem w porównaniu z szaleństwem, do którego namawia go ta kobieta!

- Chciałabym, żeby się zakochała, panie Jameison. I żeby uwierzyła - głęboko, bez cienia wątpliwości - że pan ją również kocha. To jedyne, o co proszę: żeby zdobył pan serce mojej wnuczki. Swoją drogą... przeczucie mi mówi, że nie będzie to nazbyt trudne. Jak już wspomniałam, C. J. jest marzycielką i romantyczką. Panie Jameison, nie oszukujmy się... Doświadczony mężczyzna o takim uroku jak pan łatwo zawróci jej w głowie.

- Według pani będzie to bardzo łatwe... Podejrzanie łatwe.

- Och, nie! - roześmiała się perliście. - Nigdy nie mówiłam, że to dziecinnie łatwe zadanie. Wybrałam pana, bo jest pan dojrzałym mężczyzną i... rzecz najważniejsza: na tyle wrażliwym, że zauważy pan od razu... proszę mi wierzyć na słowo, iż C. J. wyda się panu zupełnie inna niż kobiety, do których pan przywykł.

Inna...? Zapewnienie o „odmienności” przyszłej żony nie poprawiło Garrettowi nastroju, ale dosyć miał już zagadek i całej tej rozmowy. Lady D'Allaird jakby czytała w jego myślach.

- Oczekujemy pana w piątek - zaszczębiotała radośnie. - Ktoś z domowników odbierze pana z lotniska w Fort Myers. Domyśla się pan zapewne, że Paradise jest terenem zamkniętym i dobrze strzeżonym. Na wyspę można się dostać wyłącznie motorówką.

- Rozumiem - odpowiedział Garrett bez entuzjazmu. Po raz kolejny przyszła mu do głowy ta koszmarna myśl, że Bertie Parsons D'Allaird zastawia na niego pułapkę. Ale kiedy

znajdzie się na Paradise, zostanie w tym rajku tak długo, jak one tego zechcą - czarownica i jej tajemnicza wnuczka...

Dźwięk odkładanej słuchawki wyrwał go z otępienia. Odłożył delikatnie swoją i podszedł do okna. Miami tętniło życiem. Mógł się jeszcze wycofać. Wystarczyło zadzwonić do Bertie i powiedzieć jej wprost: dziękuję, nie.

Ale mógł też grać dalej i uważać się za szczęściarza.

Aranżowane małżeństwo? Wcale nie wydawało mu się przedsięwzięciem bardziej ryzykownym od kilku małżeństw zawartych z rzekomej miłości, które znał i którym nie miał czego zazdrościć. Większość rozpadła się w mało romantycznym stylu, a te, które wbrew rozsądkowi trwały... Szkoda gadać. Wyjątki potwierdzały regułę.

Poza tym, niby co on miał do stracenia? C. J. Carruthers była zwyczajną, nowoczesną dziewczyną, a nie jakimś współczesnym wcieleniem Chastity O'Roarke - pięknej i demonicznej bohaterki romansów wymyślanych przez jej cioteczną babkę. Więc co, do licha, mogło mu grozić?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Garrett usłyszał głucho stuknięcie, a potem ostry, wibrujący dźwięk strzały, która utknęła w pniu drzewa - jakieś dwa centymetry nad jego uchem.

Padł na ziemię jak długi, zanim pojął, co się stało. Dopiero po chwili - kiedy już nic, poza łomotem jego serca, nie zakłócało leśnego spokoju - uniósł głowę. Nie wierzył własnym oczom. Strzała okazała się pociskiem z kuszy.

Wstrzymując dech, próbował zarejestrować jakiś dźwięk: szelest liści albo oddalających się kroków, ale nic z tego. Tylko bzyczenie owadów, a w oddali krzyk czapli. Co jest, do diabła... Napastnik nie uciekał ani nie naciągał kuszy do kolejnego strzału.

Zaklął bezgłośnie, wstał i kocim ruchem wśliznął się pomiędzy krzaki. Zaczął sobie tłumaczyć, że to pomyłka - przypadkowa strzała wypuszczona bez celu, ze zwykłej nieostrożności.

Owszem, miał kilku wrogów - który biznesmen ich nie ma? Zdarzało się, że jakiś zdesperowany facet skakał mu do oczu i groził zemstą, ale żeby w takim miejscu, z kuszą...

No nie. Zaśmiał się w myśli. Jedno jest pewne - kimkolwiek był ten zwariowany łucznik, dawno już sobie poszedł. A jeśli nie? Garrett postanowił przeczekać kilka minut. Mało prawdopodobne, ale może wdał się niechcący w jakąś akcję przestępczą. Na przykład przerzut narkotyków - z Meksyku albo Karaibów... Tfu, odpukać. Minęły dwie minuty. Trzy. Cztery. Zaklął pod nosem, zaciskając pięści. Jeżeli jesteś tam, przemówił do niewidzialnego przeciwnika, zrób coś, do cholery. Rusz się!

Upalne powietrze, przesycone wilgocią, zapachem bagna i tropikalnej roślinności, zatykało dech w piersiach. Garrett poczuł na plecach kropelki potu. Potrząsnął głową, żeby odpędzić chmarę komarów, które szybowały prosto ku jego twarzy.

Dosyć tego. Złorzecząc zapamiętane, wychylił się z kryjówki, rozejrzał wkoło i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę domu. Na zwiedzanie Paradise przyjdzie jeszcze pora. Teraz musi się napić.

Przystanął na skraju polany, żeby upewnić się, czy idzie w dobrą stronę. Kiedy ogarnął wzrokiem przeciwległe drzewa, nogi wrosły mu w ziemię.

Jego napastnik był chudym, niepozornym chłopcem. Z szopą czarnych kręconych włosów, w szmatławych dzinsach i za długiej koszuli, opierał się plecami o pień olbrzymiej sosny. Cholera. Mało brakowało, a jakiś głupi smarkacz - nie wiadomo po co ani za co -

ustrzeliłby człowieka jak kaczkę. Kłusownik? A może zwykły łobuziak z Fort Myers, który z nudów szuka guza.

Chłopiec zrobił trzy, cztery kroki w kierunku plaży, potem zatrzymał się niepewnie i wrócił do miejsca, w którym stał przed chwilą. Wygląda na zdenerwowanego, pomyślał Garrett. Nie... on się po prostu boi.

Dobrze ci tak, synku. Kimkolwiek jesteś, zasłużyłeś na nauczkę.

Garrett w kilka minut okrążył polanę. Chłopiec, zapatrzony w morze, usłyszał jego kroki, kiedy było za późno.

- Co pan...? - wyjąkał przerażony, jakby zobaczył ducha. - Przecież pan był...

- Trupem? - Garrett uśmiechnął się wyrozumiale, wyciągając do chłopca swoją wielką rękę. - Dam ci dobrą radę, synku, nie bierz się do tego, czego nie potrafisz. Spudłowałeś.

Zlekceważony przeciwnik cofnął się gwałtownie, uniósł kuszę i... omal nie wypuścił celnego pocisku. W czasie szarpaniny drewniana kolba uderzyła Garretta w skroń. Zawył z bólu i złości, kątem oka dostrzegając, że chłopak daje nurka pod jego uniesioną pachą.

- Po moim trupie, szczeniaku! - Szarpnął go za poły koszuli, ale nie zdołał przewrócić. Poczł silne kopnięcie w udo.

Upadł z jękiem na plecy, pociągając chłopaka za sobą. Kiedy, na wszelki wypadek, wyciągnął po niego drugą rękę... głos zamarł mu w gardle. Żadnych wątpliwości. Dotknął pełnej kobiecej piersi.

Cofnął rękę jak oparzony, ale ani myślał dziewczyny wypuścić. Zaciśnął dłonie na jej drobnych nadgarstkach, bardzo mocno - po raz pierwszy w swoim ponad trzydziestoletnim życiu gotowy zlekceważyć świętą zasadę, że kobiety nie bije się nawet kwiatkiem...

Dopiero jednak po chwili, kiedy usiłowała go kopnąć kolanem w krocze, zapomniał o ostatnich skrupułach. Zaklął siarczyście, jedną ręką pociągnął ją za włosy, a drugą, dosyć brutalnym chwytem, unieszkodliwił nogi.

Walczyli wściekle kilka dobrych minut, z zaciśniętymi szczękami, pomrukami furii i nienawiścią w oczach.

- Do diabła, panienko, trzymaj te szpony przy sobie! - wycedził Garrett, kiedy jej długie paznokcie mignęły mu przed oczami.

- A kim ty, do diabła, jesteś, że śmiesz do mnie tak mówić! Ścisnąć mnie swoimi łapskami, co?!

Po raz ostatni dał się zaskoczyć, kiedy pięść dziewczyny wylądowała na jego nosie. Jęknął przez zaciśnięte zęby, a potem chwycił tę szaloną istotę za ramiona i przygwoździł do ziemi. Ukłął nad nią bez słowa, ścisnął kolanami zebra i rozkrzyżował ręce. Klęła,

próbowała go gryźć, a Garret trzymał ją tylko mocno i czekał, aż zrozumie, że walka skończona.

- Niech cię szlag! - wycedziła po chwili. - Aresztują cię za to, już moja w tym głowa.

- Aresztują mnie? Czy ja się przesłyszałem? Miała nieprawdopodobne oczy. W tak głębokim odcieniu błękitu, że chwilami wydawały mu się fioletowe. Nieco skośne, z zewnętrznymi kącikami uniesionymi ku górze, jak u kota.

- Kim jesteś? - burknął. - Dlaczego do mnie strzelałaś?

- Mieszkam tutaj - wycedziła z wściekłością. - A ty wdarłeś się na teren prywatnej posiadłości.

- Spytałem, kim jesteś...

- Złaż ze mnie! - krzyknęła głośno, jakby nagle ni stąd, ni zowąd odzyskała siły. - Daję ci pięć minut na wyniesienie się z tej wyspy albo wezmę do ręki kuszę i...

- Mówisz o tamtej kuszy? - wskazał ręką broń, która leżała jakieś trzy metry od nich.

Zarumieniła się. Dostrzegł w jej oczach błysk, który nie mógł wróżyć niczego dobrego. Ani cienia strachu, który sprawiłby mu satysfakcję. I te dziwne oczy... Chociaż odsuwał od siebie tę myśl niemal histerycznie, podejrzenie Garretta co do tożsamości dziewczyny zamieniło się w pewność. Szaleństwo... Szaleństwo od początku do końca. Może to jednak sekretarka Bertie... A może służąca... Może, może!

- Puść mnie natychmiast albo przysięgam, że resztę życia spędzisz w pudle!

C. J. spojrzała w chłodną, przystojną twarz mężczyzny, który patrzył na nią beznamiętnym wzrokiem. Żywe wcielenie Jamie'ego Kildonana, pomyślała bezwiednie. Podobnie jak bohater powieści jej ciotecznej babki - ciemny typ wyjęty spod prawa - miał kamienne rysy twarzy i wyjątkowe oczy, o tak jasnym odcieniu brązu, że niemal bursztynowe...

Tylko że Jamie jest postacią wymyśloną, a ten facet, który nie wiadomo po co czał się za drzewem - wysoki, szeroki w barach i zwinny jak tygrys - aż nazbyt rzeczywisty. Dopiero teraz C. J. przestraszyła się na dobre.

Krzyk na nic by się nie zdał. Nawet gdyby zdążyła głośno zawołać, zanim ten typ zakneblowałby jej usta - niby kto miałby przybiec na pomoc? Bertie? Winthrop? Wolne żarty. Facet jest zbudowany jak atleta i silny jak byk...

Blef, pomyślała spokojnie. Tylko dobry blef może ją uratować.

- Nie zazdroszczę ci, znalazłeś się w poważnych opałach. - Z tonu głosu C. J. można by wnioskować, że jej własne położenie ani jej nie obchodzi, ani nie dziwi... - To wyspa

prywatna. System alarmowy połączony jest z posterunkiem policji w Fort Myers. W chwili kiedy jakiś intruz zjawia się na plaży...

- Kłamiesz jak z nut - przerwał spokojnie. - Zaczynj jeszcze raz.

C. J. spojrzała mu w oczy, oceniając jeszcze raz swoje szanse ucieczki. Żadne, zdecydowała. Nawet gdyby się teraz wyniknęła, daleko by nie pobiegnęła. Facet jest za szybki i za silny.

Ciekawe, co też Chastity O'Roarke zrobiłaby w podobnej sytuacji?

Jak to co? Uwiodłaby go... Jej usta przyłgnęłyby do jego warg. Zaczęłaby go całować, powoli i namiętnie, przęjąc pod nim swoje zachwycająco bujne, stworzone do miłości ciało. Podniecony napastnik osunąłby się na dziewczynę z na wpół zwierzęcym jękiem... Uwolniłby jej ręce, żeby rozwiązać sznurowadła gorsetu, a wtedy ona - jednym szybkim ruchem - sięgnęłaby po jego sztylet i wbiła ostrze prosto w serce...

Cóż... nie był to rok 1670. C. J. nie miała ani gorsetu, ani zachwycająco bujnych kształtów. Nie umiała również namiętnie całować, a ten facet nie nosił sztyletu...

- Znam kung fu - syknęła. - Mam czarny pasek w...

- Wciąż kłamiesz. Dopóki nie powiesz mi, jak się nazywasz i co tu robisz, będziesz tak leżała, ryzykując, że zmienię pozycję na wygodniejszą i że... zacznie mi się ta zabawa podobać... Nie igraj z ogniem.

Upokorzona swoją bezradnością, C. J. zapomniała o strachu. Wzbierał w niej ślepy gniew.

- Nazywam się - wycodziła z lodowatym spokojem - C. J. Carruthers. Jestem prawnuczką pułkownika Augustusa Parsonsa oraz cioteczną wnuczką lady Parsons D'Allaird. Jeżeli natychmiast nie zdejmiesz ze mnie swoich łap, resztę swojego życia spędzisz w więzieniu. - Odetchnęła głęboko, widząc, że jej słowa nie wywarły na napastniku wrażenia, jakiego się spodziewała. Ani go nie zdziwiły, ani nie ucieszyły. Może tylko oczy nabrały bardziej mrocznego wyrazu.

- C. J. .. Carruthers - westchnął ciężko, jak człowiek, który stracił ostatnią nadzieję.

- Właśnie. A teraz puść mnie albo postaram się, żebyś zgnił za kratkami...

- Czy ty nie cierpisz przypadkiem na... jakąś więzienną obsesję? - pokręcił głową z mieszaniną smutku i niedowierzania. - A niech to wszyscy diabli... - mruknął pod nosem i w jednej chwili, bez ostrzeżenia, poderwał się na równe nogi.

C. J. zrobiła to samo. Odskoczyła od Garretta na bezpieczną odległość i - nie spuszczać z niego wzroku - zaczęła cofać się w kierunku plaży.

- Dwadzieścia minut - zawołała niepewnie. - Jeśli nie znikniesz z wyspy za dwadzieścia minut, ochroniarze spuszczą psy.

Kiedy poczuła pod stopami delikatny, gorący piasek, odwróciła się na pięcie i pomknęła w stronę domu, na wpół przytomna z radości. Udało się!

Garrett patrzył osłupiały na jej smukłą, zwinną sylwetkę, niczego nie rozumiejąc. W najgorszych snach nie podejrzewał, że będzie aż tak źle.

- Dzisiaj znów jakiś intruz plątał się po wyspie - C. J. wpięła wysadzany klejnotami grzebień w srebrnobiałe włosy Bertie, ani na chwilę nie odrywając oczu od lustra toaletki.

- Intruz? Co za intruz?

- Wybacz, ale pogoniłam go, nie zapytawszy o nazwisko. Mówiąc poważnie, wyglądał na pośrednika z agencji nieruchomości.

- Jeszcze jeden? - Bertie mruknęła pod nosem łagodne przekleństwo. - A już myślałam, że się odczepią... Tłumaczyłam ostatniemu, że zastrzelę każdego gnoja, który spróbuje tu węszyć.

- Gnoje, jak ich pieszczotliwie nazywasz, wychodzą z założenia, że nie będziesz żyć wiecznie.

- A może się założymy?

- Nie. - C. J. wetknęła we włosy Bertie drugi grzebień, roześmiała się i cofnęła o krok, żeby ocenić fryzurę. - Nie wydają ci się zbyt... błyszczące?

- Co? Grzebienie? A co ci się w nich nie podoba?

- Cóż... Są po prostu bardzo... eleganckie.

- Krzykliwe, to miałaś na myśli? - Bertie pogładziła czule jeden z grzebieni. - Widziałas gdzie wspanialsze szmaragdy? Oczywiście, rzucają się w oczy, są krzykliwe, może nawet wyzywające... Ale w moim wieku, dziecino, kobieta ma prawo wyglądać na tyle wyzywająco, na ile ma ochotę. Chociażby po to, moja mała, żeby udowodnić bliźnim, że wciąż oddycha!

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek śmiał w to wątpić - odparła chłodno C. J. , potem cofnęła się jeszcze dalej, marszcząc czoło. - Spójrz w lustro: świecisz się jak choinka, suknia jest wyzywająca, a zapach whisky tłumi woń perfum. Goście padną z wrażenia.

- I bardzo dobrze. I o to chodzi. Goście są po to, żeby padali z wrażenia. - Bertie wykrzywiła się z niesmakiem do swojego odbicia w lustrze. - I pomyśleć, że kiedyś mężczyźni skomleli na widok tego dekoltu. Krążyli wokół mnie jak ćmy, żeby zapuścić żurawia... Mój Boże! Nie sądzisz, że powinnam pomyśleć o małym liftingu?

- Spytaj o to doktora Willersona. Myślę, że będzie zachwycony pomysłem. Powiększenie piersi siedemdziesięciosześcioletniej kobiecie... Uzna to za prawdziwą gratkę. Wyzwanie dla ambitnego chirurga. Opisz swój przypadek w specjalistycznej prasie, a Barbara Walters poprosi cię o wywiad. Nakłady twoich książek powinny wzrosnąć o kolejne kilka milionów - „Światowej sławy pisarka odsłania nowe piersi”. Hej! A może każą ci pozować do zdjęć na okładki własnych książek, kto wie?

- Widzę, że jesteś dzisiaj w szczytowej formie... Mam na myśli inteligencję. W porządku, C. J., mam nadzieję, że sobie ulżyłaś, a teraz powiedz, gdzie się podziało moje lekarstwo na serce. Szklanka stała tutaj... Przed chwilą tu była. - Bertie podjechała wózkiem do nocnej szafki.

- Chodzi ci o whisky?

- O lekarstwo na serce - powtórzyła słodkim głosem Bertie.

- Czyli mówimy o tym samym. Nic z tego.

- Jeszcze trochę, a zaczniesz mnie zamykać w sypialni.

- Lepiej mi nie podsuwaj takich świetnych pomysłów.

- Czarownica! Paskudny dzieciak - westchnęła Bertie. - Zastanawiam się czasami, po co ja cię wtedy wzięłam na wychowanie.

- Bo mnie kochałaś. I nadal kochasz. - C. J. objęła starszą panią ramionami i pocałowała we włosy, nie odrywając wzroku od lustra. - A swoją drogą, nikt inny nie wytrzymałby z tobą ani tygodnia. Dokończ, cioteczko, makijaż, i schodzimy na kolację.

Bertie poklepała C. J. po dłoni, a potem niecierpliwym gestem dała do zrozumienia, że muszą się pośpieszyć.

- Jeszcze tylko szminka... Tak, ta czerwona będzie dobra. Jak sądzisz, nie za ciemna?

- Ujdzie. Jeśli goście będą mrużyć oczy, rozdamy im okulary słoneczne. Gotowa?

- Ja tak. Ale ty... mam nadzieję, że nie wystąpisz w tym czymś?

- A co ci się w tym czymś nie podoba? - C. J. spojrzała zdziwiona na swoją lnianą spódnicę i jedwabną bluzkę. Dla świętego spokoju nałożyła nawet kolczyki, które dostała od Bertie na gwiazdkę, a szyję obwiesiła złotymi łańcuszkami.

- Moja droga, ten zgrzebny przyodziewek nadaje się do pracy w twoim biurze, a nie do zabawiania gości...

- I bardzo dobrze, bo ja nie mam zamiaru nikogo zabawiać. Doktor Willerson prawie należy do rodziny, a ten drugi, jakiś tam biznesmen, którego próbujesz skaperować do Parsons Industrial... Żaden z nich nie zwróci uwagi na mój strój.

- Wyobraź sobie, że ten „Jakiś tam biznesmen” jest jednym z najzamożniej szych i najbardziej wpływowych ludzi w kraju. A ja nie mam zamiaru kaperować go do pracy, tylko zaproponuję mu interes jego życia! I wierz mi, kochanie, on na twój strój z pewnością zwróci uwagę.

- Co ty znowu knujesz? - C. J. zmierzyła Bertie piorunującym wzrokiem.

- Knuję? Dlaczego od razu: knuję...?

- Przysięgam, że jeżeli nie przestaniesz mnie swatać, jeśli okaże się, że zwabiłaś tego biednego faceta w wiadomym celu... naprawdę zamknę cię w sypialni.

- Tak to jest: liczyć na wdzięczność dzieci! Człowiek je karmi, wychowuje, daje z siebie wszystko, a one, jak tylko odrosną od ziemi, odpłacają się...

- ... pięknym za nadobne. Daj spokój, cioteczko, po prostu zajmij się sobą i przestań szukać mi męża.

- Myślałby kto, że nic innego nie robię, tylko szukam ci męża!

- Niestety, na to wygląda. Pamiętasz tego księgowego, który zawitał do nas niechcący zeszłego lata? Minutę po zachodzie słońca odbijała mu palma.

- Nie nazwałabym tego „palumą” - odparła Bertie z przekąsem.

- Mniej więcej o drugiej nad ranem biegał nago po plaży, wyjąc do księżycy. Jeżeli dla ciebie to normalne...

- Moja droga, młody człowiek był ekscentrykiem, nie przeczę. Na upartego, mnie też można by nazwać ekscentryczką, a przecież...

- Można by? Ciebie rzadko nazywają inaczej. A co powiesz o ekscentrycznym architekcie, który próbował dobrać się do twojego sejfu?

- Mój Boże, skąd miałam wiedzieć, że jest narkomanem? Jeżeli zamierzasz wytknąć mi w tej chwili wszystkie pomyłki...

- Potem zjawił się Geoffrey, gwiazda amerykańskiego footballu o inteligencji ameby. Potem malarz portrecista, który niestety lubił chłopców. No i prezes banku, który zapomniał, że w Georgii ma żonę i trójkę dzieci. Wreszcie Morris...

- No właśnie! Od niego trzeba było zacząć! - Bertie klasnęła triumfalnie w dłonie. - Jemu chyba niczego nie brakowało. Czarujący młody mężczyzna, zakochany w tobie po uszy. Jaki przystojny! Pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy odprawiłaś go z kwitkiem.

- Chciał natrzeć miodem całe moje ciało, żeby go potem zlizać!

- Przecież wszyscy mamy jakieś erotyczne fantazje. Kto wie, czy by ci się nie spodobało...

- Fantazje? - syknęła. - On chciał...

- Uważam tylko, że powinnaś być bardziej otwarta... na ciekawe propozycje. Poszerzać swoje horyzonty, a nie od razu mówić „nie”.

- Nie! - C. J. zdawała się nie żartować. - Koniec ze swataniem, Bertie, ostrzegam cię! Jeżeli dzisiaj wieczorem spróbujesz którejs z swoich sztuczek i zrobisz ze mnie balona... Poproszę doktora Willersona, żeby zaświadczył, że jesteś niepoczytalna, podpiszę odpowiednie papiery i jutro rano wylądujesz w luksusowym przytułku dla ekscentrycznych dam.

- Hola, hola! Ciekawe, kto by uwierzył diagnozie doktora Willersona? - roześmiała się ponuro. - To konował, nie lekarz! Poza tym wszyscy by pomyśleli, że lecisz na moje pieniądze. Istnieje na szczęście prawo, które chroni stare bezradne kobiety przed pazernymi członkami rodziny.

- Bezradna, dobre sobie. Jeżeli ktokolwiek w tym domu wymaga ochrony przed członkami rodziny, to ja, a nie ty.

- Mój Boże, C. J., skąd w tobie tyle podejrzliwości?

- Dobre pytanie, Bertie!

- Jeżeli sądzisz, że mnie zagadasz i zapomnę o twoim stroju, to grubo się mylisz, moje dziecko.

I wbij sobie do głowy, że nie planuję na dzisiaj żadnych sztuczek. Chcę pogadać z panem Jameisonem o interesach, a wygodniej mi to robić tutaj niż w jego biurze w Miami. Co prawda nie uszło mojej uwagi, że człowiek, o którym mówię, jest diabelnie przystojny, bogaty, a na dodatek wolny - ale nie dlatego zaprosiłam go na wyspę.

- Zaprosiłaś na wyspę...

- Tak, na kilka dni. Oddałam mu do dyspozycji Zieloną Willę.

- Aha... Rozumiem. C. J. postanowiła zachować spokój. Mimo wszystko.

Zielona Willa sąsiadowała z jej własnym domkiem. A ciotka zaprosiła na wyspę kolejnego „diabelnie przystojnego” mężczyznę, żeby porozmawiać z nim o interesach. Koń by się uśmieł!

- A teraz bądź grzeczna - Bertie uśmiechnęła się słodko - i przebierz się szybko. Najlepiej w szkarłatną suknię z perełkami. Wyglądasz w niej bosko. Do tego brylantowo - rubinowy naszyjnik twojej babki. I, na litość boską, zrób coś z włosami! Nigdy nie zrozumieć, jak można takie piękne włosy...

- Dość już! Wychodzę! Aha, przypomniałam sobie, że szkarłatną suknię rozdarłam obcasem na przyjęciu u Lakersonów.

- Cholera! W takim razie nałóż tę małą czarną, którą kupiłam ci w Nowym Jorku, no wiesz...

- Wiem. Tę, w której wyglądam jak ulicznica z Miami.

- Bzdura! Masz piękno ciało. Nie mogę patrzeć, jak chowasz je pod tymi okropnymi bluzami! To grzech i głupota marnować urodę...

- Ale o co ci chodzi! Przecież tajemniczy pan Jameison przyjechał do ciebie, żeby rozmawiać o interesach.

- Zależy mi na miłej atmosferze, ot co! Jesteś częścią tego domu. Wymagam, żeby - przynajmniej za mego żywota - jadano w nim na porcelanie, a nie na papierowych talerzach. Gości zaś przyjmowano w odpowiednich strojach. Czy żądam zbyt wiele?

ROZDZIAŁ DRUGI

Tuż za drzwiami przywitała go sfera ujadających ratlerków. Pędziły poprzez olbrzymi hol, potem hamując niezdarnie na gładkiej posadzce, wpadały jeden na drugiego skamłając przeraźliwie, coraz głośniej... Daleko za nimi pojawiła się zgarbiona męska postać.

- Cicho, wy obrzydliwe darmozjady! - Winthrop gestem ręki wskazał Garrettowi drogę. - Pojęcia nie mam, po co ludzie trzymają w domu takie paskudztwa. Z kota jest przynajmniej pożytek. Koty lubię, nie powiem, ale te jej psy... żeby chociaż były to normalne psy... - skrzywił się z niesmakiem.

- Słyszałam wszystko! - głos Bertie spadł na nich jak grom z jasnego nieba. - Jedynym darmozjadem w tym domu jesteś ty! Gdzie jest, do diabła, moja szklanka? Prosiłam cię o nią godzinę temu.

- Zaledwie trzy minuty temu, proszę pani - odparł spokojnie Winthrop, nie odwracając nawet głowy. - Prosiła pani o lemoniadę czy wodę mineralną?

- Whisky! - dobiegł ich groźny, wyraźny szept od strony kominka. - I nie proponuj mi nigdy lemoniady. Nie jestem dzieckiem!

- Nie ma whisky. - Na wargach Winthrupa igrał pobłażliwy uśmiech. - Doktor zabronił. Powiem kucharzowi, żeby zaparzył miętę.

- Miętę to ja... Cóż, witam, panie Jameison. Jestem niezmiernie wdzięczna, że zgodził się pan zostać naszym gościem.

- Nie zamieniłbym tej wizyty na żadną inną przyjemność, lady D'Allaird. Ma pani nadprzyrodzony dar ekscytowania mężczyzn swoją osobowością i swoimi pomysłami...

Jej oczy zajaśniały wesołym, niemal młodzieńczym blaskiem.

- A możesz mi wierzyć, młody człowieku, że kiedyś ekscytowałam mężczyzn tylko sobą - bez uciekania się do pochlebstw czy też przynęt... które nazywasz pomysłami.

- Nie wątpię!

- I bardzo proszę: dajmy spokój z tą „lady”. Mam na imię Bertie. Mój mąż nie żyje od wielu lat, a ja dawno przestałam być lady.

- To prawda... - mruknął pod nosem Winthrop. - Czy podać panu coś do picia? Może whisky?

- Zwalniam cię, Winthrop - warknęła Bertie.

- Tak jest, proszę pani. - Winthrop nie mrugnął nawet okiem. - Mamy niezłą whisky - zwrócił się do Garretta, nie przejmując się najwyraźniej utratą pracy. - Sądzę, że skosztuje

pan jej bez przykrości, a jaśnie pani - spojrział na Bertie z pogodnym uśmiechem - przyniosę herbatę.

- Zrzednie ci ta wesoła mina, oj zrzednie... - powiedziała równie łagodnie. - Czy wiesz, że wykreśliłam cię z testamentu? Myślałeś, że po mojej śmierci dalej będziesz żył jak panisko, co? A więc nie dostaniesz złamanego centa! Mam też inny pomysł... - zmrużyła oczy. - Zostawię ci psy, co ty na to, Winthrop? Będziesz dostawał rentę, pod warunkiem, że zaopiekujesz się moimi ulubieńcami, hm?

- Oczywiście, jak pani każe. - Winthrop zwrócił się do Garretta zbolalym głosem: - Niestety, proszę pana... - narysował kółko na czole - to na ogół zaczyna się od głowy.

- Nic z tego, Winthrop. Prędzej ty się znajdziesz na bruku, niż ja u czubków. A teraz koniec żartów. Przestań się objać i przynieś mi whisky. Bez żadnego rozcieńczania. I pospiesz się!

Winthrop złożył ręce jak do modlitwy, odwrócił się napięcie i odszedł. Garrett z trudem zachował powagę.

- Proszę usiąść. - Bertie westchnęła, wskazując mu najbliższy fotel. - Wynałazłam C. J. zajęcie, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. Nie widział pan jej jeszcze, prawda?

- Noo... nie. Właściwie nie.

- W porządku. Zanim zasiądziemy do kolacji, chciałam się upewnić, czy umowa stoi. Szkoda fatygi, jeśli zmienił pan zdanie.

- Widzę, że nie lubi pani niczego owijać w bawełnę - uśmiechnął się nieznacznie.

- Właśnie. W końcu albo podoba się panu moja propozycja, albo nie. A więc umowa stoi?

Garrett zawahał się. Przyglądał się tej starszej, kruchej kobiecie i nie mógł się nadziwić: ile w niej jeszcze siły, dowcipu, hartu ducha. Ze swoją błyskotliwą inteligencją znała się na ludziach jak mało kto. Rozumiała ten świat i lubiła go...

- Uważa pan, że jestem starą pomyloną kobietą, prawda?

- Uważam, że... wszystko, tylko nie to. I właśnie dlatego się boję.

Bertie wybuchnęła radosnym śmiechem. Jej oczy błyszczały niczym wilgotne szklane paciorki.

- Mój ojciec zbudował Parsons Industrial na przełomie wieków. Zaczynał od zera, ale to już wiemy, prawda? Nie przyjechałby pan tutaj, gdyby było inaczej.

- Owszem.... Sprawdziłem wiele rzeczy po pani telefonie.

- Sama bym się wycofała, gdyby pan nie sprawdził. Nie zamierzam wydać mojej wnuczki za człowieka głupiego. Ani nawet za lekkomyślnego... choć to lepiej brzmi.

- A tego, co knujemy, nie nazwałaby pani lekkomyślnością?
- Nazwałabym to rozsądną decyzją. Korzystną dla nas obojga.
- Wciąż nie do końca rozumiem...

- A więc proszę posłuchać... Kiedy mój ojciec poważnie zachorował i nie był w stanie prowadzić firmy, kontrolę nad Parsons Industrial przejęło troje jego dzieci. Mój brat James dostał czterdzieści dziewięć procent udziałów, a resztę, w równych częściach, ja i moja siostra. Ani ja, ani Clara nie znałyśmy się na interesach i, szczerze mówiąc, wcale nas do studiowania ekonomii nie ciągnęło. Podpisywałyśmy wszystkie papiery, które podsuwał nam James. Ja szybko wyfrunęłam z rodzinnego gniazda, wyszłam za mąż za mojego kochanego Francuza, a Clara poślubiła Johna Carruthersa. Mieli dwóch synów, jeden z nich został ojcem C. J. Nadąża pan, czy mówić wolniej?

- W porządku, na razie nadążam.

- Clara umarła, ja zostałam z pięćdziesięciu jeden procentami udziałów w Parsons Industrial, ale nadal podpisywałam to, co James chciał, żebym podpisała, i na niego cedowałam swoje prawo głosu. Po śmierci męża wróciłam do domu. Rodzice C. J. zginęli cztery lata wcześniej w wypadku samochodowym... A więc wróciłam i zauważyłam dwie rzeczy: po pierwsze, C. J. błąkała się po rodzinnym domu jak bezpański pies, a po drugie, rola przemysłowej potentatki zaczęła mnie bawić... - Bertie uśmiechnęła się tajemniczo, zawieszając głos.

- Proszę sobie wyobrazić konsternację rodzinki, kiedy nagle ni stąd, ni zowąd zaczęłam uczęszczać na posiedzenia zarządu. Firmą zarządzali James, jego syn i dwaj wnukowie. Ależ ja im urządziłam desant! W swoich najlepszych paryskich kreacjach, kapeluszach, obwieszona biżuterią, doprowadzałam ich do białej gorączki. Zadawałam pytania, wtrącałam się do każdej sprawy, węszyłam... Wkrótce jednego byłam pewna: że to wszystko bardzo mi się nie podoba. Lokowaliśmy kapitał w fabrykach chemicznych, które zatrwały nasze rzeki, zakładach zbrojeniowych... Tak, naprawdę zarabialiśmy na bombach, które zabijały dzieci. Podpisywaliśmy kontrakty z oprawcami narodów.

- A pani protestowała i miała coraz więcej do powiedzenia...

- Na początku James i jego chłopcy dostawali szału. Ale co mogli zrobić? To do mnie należał kontrolny pakiet w tym całym cholernym Parsons Industrial. Musieli tańczyć, jak ciocia Bertie zagra, albo wynosić się. Boją się mnie jak diabeł święconej wody! Teraz też, chociaż firmą zarządza w moim imieniu Emmett Royce... Albo zarządzał... - uśmiech na jej twarzy zastąpił bolesny grymas. - Emmett starzeje się tak jak i ja. Chce przejść na emeryturę,

a ja - Bóg mi świadkiem - mam lepsze pomysły na resztę życia niż stanie z kijem nad chciwą rodziną.

- ...która poczuła pismo nosem i pewnie nie może się doczekać, kiedy przejmie pełną kontrolę nad firmą.

- Jakbyś zgadł. Ślinka im leci na samą myśl... Uważają, że zbzikowałam na starość, ale dopiero kiedy zbzikuję do końca, nadejdzie ich wielki dzień.

- Jednym słowem - Garrett wyprostował się w fotelu - rodzinka ma się dobrze, obrasta w tłuszcz i pierze, z konieczności tolerując starą ciotkę, która - choć bogatsza od Rockefellera - nie może jednak żyć wiecznie... No, to spróbujmy ich okpić.

Bertie wybuchnęła śmiechem, patrząc na Garretta z uwielbieniem.

- Może nie będę żyła wiecznie, ale wystarczająco długo, żeby doczekać dnia, kiedy Parsons Industrial znajdzie się we właściwych rękach. W pana rękach, panie Jameison! C. J. jest moją legalną spadkobierczynią. Jako jej mąż przejmie pan pięćdziesiąt jeden procent udziałów w przedsiębiorstwie.

- A gdyby już teraz przepisała pani swój udział C. J. ?

- Rozdarliby ją na strzępy - powiedziała z przekonaniem. - Nie należę do osób szczególnie sentymentalnych, ale nie chciałabym, żeby Parsons Industrial zamieniło się w coś takiego... z czego mój ojciec nie byłby dumny. Czy uważa pan moje skrupuły za bardzo głupie?

- Uważam, że to rozsądna decyzja.

- A więc, panie Jameison, wyznałam panu całą prawdę, a teraz proszę o odpowiedź: tak czy nie?

- Zgoda. Trudno odmówić pani daru przekonywania... Podejrzewam, że zechce pani, abym coś podpisał - westchnął pokonany.

- Istotnie! Mogę powierzyć panu z pełnym zaufaniem moją wnuczkę, rodzinny majątek... ale nie oba skarby równocześnie. Jeżeli rozwiedzie się pan z C. J. albo uczyni jej najmniejszą krzywdę, straci pan wszystko. I niech panu do głowy nie przyjdzie, że można mnie okpić. Intercyza będzie nie do podważenia.

- Zgoda - Garrett odpowiedział zachrypniętym głosem. - To ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy.

- Ta kobieta doprowadzi mnie do szału! Chyba zacznę przez nią pić - mruzczała C. J. pod nosem, zbiegając po schodach z naręczem teczek i segregatorów. - Ciekawe, do czego jej to potrzebne... Koniecznie w tej chwili. O, Winthrop! Dzięki Bogu! Myślałam, że wyrzuciła już wszystkich i nie raczyła mi powiedzieć...

- Wyrzuciła kucharza. - Winthrop poczekał na C. J. u podnóża schodów, a potem uwolnił ją od ciężaru.

- Znowu? O co poszło tym razem?

- Och, o drobiazg... Jaśnie pani doszła do wniosku, iż wie lepiej, jak przyrządzić wołowinę a la Wellington.

- Mam nadzieję, że udało ci się to jakoś załagodzić.

- Owszem, ale atmosfera staje się coraz cięższa. Jeśli już mowa o kłopotach ze służbą, panno C. J., to znów trzeba dać ogłoszenie. Ta nowa pokojówka, no, jak jej tam... Chantal, uciekła pół godziny temu. Podobno źle nakryła stół.

- Jak długo wytrzymała, Winthrop? Jakies dwa miesiące?

- Mniej więcej... - uśmiechnął się pobłaźliwie. - Jaśnie pani kazała panience... pospieszyć się. Wątpię jednak, żeby chodziło o te papiery.

- Ja ją kiedyś uduszę! Własnymi rękami. I nic mi za to nie zrobią. Najwyżej podziękują.

- No nie, tak nie można, panienko - powiedział Winthrop z wyrzutem w głosie. - Pani się ostatnio dziwnie zachowuje, to prawda, ale ludzie starzy mają prawo być trudni. Kto wie, jacy my będziemy...

- Znowu się naczytałeś jej „Twórczej starości”

- powiedziała lodowato. - Co innego „trudni”, a co innego „niemożliwi”. - Odwróciła głowę w kierunku salonu. - Doktor Willerson odwiedza nas coraz częściej. Czy ze zdrowiem Bertie dzieje się coś... o czym nie wiem?

- Nic takiego - Winthrop zmarszczył czoło - o czym ja mógłbym nie wiedzieć. Rzeczywiście, doktor przychodzi prawie codziennie na obiady... Zastanawiam się czasami - powiedział z przekąsem - czy nie myli nas z restauracją.

- Jest dla niej słodki jak miód, przecież wiesz o tym, Winthrop - C. J. roześmiała się, patrząc lokajowi prosto w oczy.

- Na nic to się nie zda, choćby stawał na głowie - burknął pod nosem.

- My o tym wiemy, ale doktor Willerson żyje nadzieją... Mnie to cieszy, bo przynajmniej ma na nią oko.

- O tak! Powiedziałbym, że nie spuszcza z niej oczu. Niestety.

- Sądzisz więc, że te niespodziewane wizyty Willersona mają wyłącznie prywatny charakter? Bertie czuje się dobrze...

- Niespodziewane wizyty?

- Był tu w poniedziałek późnym wieczorem, potem w środę i...

- Niemożliwe... - odpowiedział Winthrop zmienionym głosem. - Nie mógłbym nie zauważyć, że doktor Willerson przyjechał na wyspę. Niech już panienka lepiej idzie. Starsza pani nie lubi....

- Wiem, wiem, już idę. I... dziękuję ci, Winthrop. Ogarnął ją paniczny strach. Po raz pierwszy w życiu Winthrop ją okłamał. Dlaczego? Komu jak komu, ale jemu zawsze mogła wierzyć... O Boże, Bertie, co się z tobą dzieje? - szeptała bezgłośnie. Co ty przede mną ukrywasz?

Rozmawiając z Bertie, Garrett kątem oka spoglądał na drzwi. Nie, nie spodziewał się strzału z kuszy... w każdym razie nie w czasie obiadu, za nic jednak nie chciał przegapić chwili, kiedy C. J. Carruthers wkroczy do salonu.

Nie wkroczyła, tylko wśliznęła się. I nawet nie spojrzała w jego kierunku, tylko z uśmiechem na ustach podeszła do Bertie, która - traf chciał - akurat w tym momencie sięgała po butelkę whisky.

Zastanawiał się przez chwilę, czy to ta sama C. J. Dziewczyna, którą godzinę temu wziął za chłopaka, miała potargane czarne włosy z grzywką wpadającą do oczu, umorusaną twarz i łobuzerską minę... A ta...

Dobrze, że nie widziała teraz jego głupiej miny.

Ta C. J. wydawała się wyższa. Może dzięki złotym sandałom na obcasach, a może sprawiały to jej fantastycznie długie nogi. Ubrana w czarną prostą sukienkę ze złotym paskiem, zmierzała do barku krokiem modelki. Nie do wiary...

Garrett stał nieruchomo przy kominku, może kilka sekund, a może pół minuty - oczarowany i zbity z tropu. Nie wytrzymał napięcia, odstawił szklankę i lekko zakasłał.

C. J. odwróciła się na pięcie i marszcząc czoło zaczęła się zastanawiać, gdzie widziała tego mężczyznę... Nagle wszystko zrozumiała. Krew odpłynęła jej z twarzy, cofnęła się mimowolnie, kiedy on zrobił krok do przodu.

- A co ten tu robi?! Do jasnej...

- Słucham? - Bertie zrobiła minę przerażonego dziecka.

- Spytałam, co... - C. J. spojrzała na ciotkę, a potem na szklankę w jej ręku i natychmiast zapomniała o intruzie. - Co ty, do diabła, wyrabiasz?

- Willerson powiedział, że to mi nie szkodzi. Mało tego: działa jak prawdziwe lekarstwo!

- Willerson nie mógł tego powiedzieć.

- Naprawdę tak powiedział! Zapytaj go sama.

- Masz niezwykle wybiórczy słuch. Od dawna słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć - mruknęła C. J. łagodniej, zabierając Bertie szklankę. - Powiedział, że mały kieliszek od czasu do czasu nie powinien ci zaszkodzić. Mały. Chyba wiesz, co znaczy mały kieliszek? - C. J. przysunęła jej do oczu dużą szklankę napelnioną do połowy whisky. - Tym można by napoić pułk wojska i to w czasie zimowych manewrów.

- Boże, marudzisz jak stara baba. Co się z tobą dzieje?

- Widocznie kto z kim przestaje... - C. J. odparowała z uśmiechem, wyraźnie udobruchana. - Musisz zacząć o siebie dbać, Bertie. Wiem, że to bardzo zabawne - wyprowadzić w pole Winthrupa, Willersona i mnie, ale jesteś moją jedyną cioteczną babką... Przez dwadzieścia trzy lata zdążyłam cię nawet polubić i...

- I ty to nazywasz sympatią? Obym więc nie dożyła dnia, kiedy zaczniesz mnie nie lubić!

- Nie bądź przykra, Bertie. Zapomniałaś chyba o naszym gościu.

C. J. wytrzymała wyzywający wzrok Garretta, chociaż piekły ją policzki, a serce biło jak oszalałe.

- Pan Garrett Jameison, jeśli dobrze zapamiętałam...

- Na miłość boską, dziewczyno! - Bertie udała święcie oburzoną. - Mogłabyś chociaż poczekać, aż przedstawię cię... należycie. Co się dzisiaj z tobą dzieje? - Rozdzieliła ich swoim wózkiem, dając C. J.

dyskretnego kuksańca w łokieć. - Drogi Garretcie - powiedziała dostojnym głosem - jak sam się zapewne domyśliłeś, ta w gorącej wodzie kąpana niewiasta to moja cioteczna wnuczka, C. J. Carruthers. Miewa lepsze maniery, ale dzisiaj coś ją ugryzło. C. J. , bądź tak miła i przywitaj się wreszcie.

C. J. uraczyła Jameisona lodowatym uśmiechem.

- Przypuszczam, że opowiedział pan cioci o naszym popołudniowym spotkaniu.

- Słucham? - Bertie przeszła wzrokiem Garretta. - O jakim spotkaniu ona mówi?

- Kiedy zwiedzałem po południu wyspę... wypatrzyła mnie pani wnuczka - zaczął swobodnie, z rozbawieniem w głosie. - Uznała mnie za niebezpiecznego intruza i... przepędziła.

- Co proszę? Co zrobiła?! - Bertie zdawała się nie wierzyć własnym uszom. - Czy to właśnie ten... agent nieruchomości, o którym mi opowiadałaś?

- Gdybyś raczyła mnie uprzedzić, że zaprosiłaś pana Jameisona... - C. J. traciła pewność siebie. - Kiedy zobaczyłam, że ktoś się kręci po lesie i węszy, pomyślałam...

- Gdybyś przestała w końcu bawić się w mojego ochroniarza, nie byłoby tej głupiej rozmowy. Swoją drogą, C. J. , gdyby on naprawdę okazał się jakimś szpiegiem albo włamywaczem, mógłby cię zranić. W najlepszym razie... obie miałybyśmy powody do płaczu! Krzyczysz tu na mnie, że powinnam o siebie dbać, a sama biegasz po lesie i udajesz komandosa.

- Jeśli to panią pocieszy - powiedział z przekąsem Garrett - daję słowo, że panna Carruthers świetnie sobie radzi... w sytuacjach krytycznych.

- Nie chcę słyszeć o żadnych „sytuacjach krytycznych”! Nigdy więcej, rozumiesz, kochanie? Jesteś całą moją rodziną - nie licząc klanu Bertrama... Tak czy inaczej, zbyt wiele wysiłku włożyłam w twoje wychowanie, żeby pozwolić ci zginąć z ręki jakiegoś bandziora. Jutro zaczniemy się rozglądać za stałą ochroną. Zawodowi goryle będą łązić po plaży i wypatrywać intruzów, a ty, moje dziecko, zajmiesz się mną.

- Ciekawe, co z tego będę miała? - C. J. próbowała zmusić Bertie do uśmiechu. - Łatwiej poradzić sobie z trzema uzbrojonymi bandziorami niż z jedną poczciwą cicią Bertie...

- Daruj sobie te pochlebstwa, moja droga, nic dzisiaj u mnie nie wskórasz. Czuję się przybita, C. J. Załamana! Podaj mi tę szklankę.

C. J. sięgnęła po nią natychmiast i postawiła na półce nad kominkiem.

- Zdawało mi się, że miałaś rozmawiać z panem Jameisonem o interesach. Jeszcze dwa łyki „lekarstwa” i twój gość pożaluje straconego czasu.

- Nie przejmuj się, Garrett. To jej ostatnie... hobby: kruczata trzeźwości. W zeszłym tygodniu walczyła z papierosami. W przyszłym, jak sądzę, rozprawi się z seksem.

- Bertie! Zaczynasz przesadzać...

- Madame - rozległ się za ich plecami dźwięczny głos Winthrupa. - Kolacja zostanie podana za pięć minut.

- Szkoda, że nie później! Wielka szkoda! A gdzie jest, do licha, Willerson? Powinien przyjechać godzinę temu. Winthrup!

- Do usług, madame.

- Zadzwoń do tego konowała i powiedz mu, że odwołałam zaproszenie. Jeżeli nie potrafi...

- Doktor Willerson jest w holu, madame.

- Kochanie - głos Bertie nagle złagodniał - bądź tak dobra i przynieś mi laskę. Zostawiłam ją w gabinecie. Aha, przy okazji weź ze sobą Garretta i pokaż mu, gdzie trzymamy akta Parsons Industrial.

- Bertie, ale to chyba nie pora na... - C. J. zamilkła w połowie zdania, widząc piorunujący wzrok ciotki. Zmarszczyła brwi. - Mogłabym pomyśleć... że wyrzucasz mnie stąd pod byle pretekstem, żeby porozmawiać na osobności z doktorem. A to by z kolei oznaczało... kłopoty ze zdrowiem, które tasisz przede mną. Czyli...

- W razie kłopotów ze zdrowiem ostatnią osobą, której chciałabym się zwierzać, jest nasz drogi konował Willerson. Poprosiłam tylko - Bertie cedziła słowa jadowitym tonem - żebyś pokazała Garrettowi biuro. Czy zachowałam się niestosownie, czy może wymagam za wiele?

- Nie. - C. J. próbowała ukryć przerażenie. Dlaczego Bertie jest taka blada? Wczoraj wyglądała dużo lepiej. I to drżenie rąk...

- A więc? - szepnęła starsza pani ponurym, zniecierpliwionym głosem. - Rusz się wreszcie, bo wystygnie nam kolacja.

Nie miała wyboru. Wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju, nie oglądając się na Garretta.

- Pani ciotka jest niezwykłą kobietą - usłyszała za plecami, kiedy weszli na schody.

- Nie najlepiej się czuje. Nie chcę pana martwić.

- Według mnie wygląda dobrze...

- Nie - zmierzyła go pogardliwym wzrokiem. - I , jak powiedziałam, nie jest z nią dobrze. Nie wiem, po co znowu miesza się do interesów, które ją nudzą. Tyle razy to powtarzała.

- Cóż, Parsons Industrial to jej rodzinna scheda. Jest głównym udziałowcem firmy, więc trudno się dziwić...

- Bertie jest pisarką. Zarabia na życie piórem, a nie wygniataniem foteli w zadymionych salach konferencyjnych. Przez całe życie miała w nosie Parsons Industrial. Dała wolną rękę Emmettowi Royce'owi, który, wspólnie z moim wujem, rządził przedsiębiorstwem.

C. J. była coraz bardziej zirytowana i nawet nie wiedziała, dlaczego.

- Właściwie co pan tutaj robi? Trudno mi sobie wyobrazić, czym biedna Bertie mogła zainteresować taką grubą rybę jak Garrett Jameison. Myślałam, że interesują pana tylko upadające kolosy, którym można wbić ostatni gwóźdź do trumny albo rozszarpać na kawałki... - Zatrzymała się jak wryta. - Czy Parsons Industrial znalazło się w tarapatach? Po to pan przyjechał, prawda? Przekonać Bertie, żeby odsprzedała panu swoje udziały, a potem...

- Spokojnie - przerwał jej z cierpkim uśmiechem. - Pani ciotka uznała, że Parsons Industrial przydałoby się nieco świeżej krwi. To wszystko. Lady D'Allaird nie spodobały się

pewne decyzje podjęte w jej imieniu, a ona sama, jak pani słusznie zauważyła, ani myśli brać się do rządu. Poprosiła, żebym się przyjrzał kilku sprawom.... Kłopoty to moja specjalność, więc nie powiedziałem: nie.

Ale to nie wszystko, mój drogi, myślała, zaciskając zęby i wpatrując się w jego złotobrzazowe oczy. Nie powiedziałeś nawet połowy prawdy. Bertie nie uciekałyby się do pomocy obcego człowieka - chyba że sytuacja wygląda tragicznie. A Garrett Jameison - facet, którego „Time” nazwał „Rekinem z Miami” - nie traciłby swojego cennego czasu na bzdury. Jego „świeża krew” musi cholernie drogo kosztować.

- Pan chyba nie jest żonaty, panie Jameison?

- Bardzo byłbym zobowiązany, gdyby zaczęła mi pani mówić po imieniu. Po prostu Garrett. Nie, nie jestem żonaty. Dlaczego pani pyta?

- Coś mi się przypomniało... - C. J. uśmiechnęła się nieznacznie. - „Najlepsza partia Ameryki” - tak pisał o panu „Newsweek”.

- Mam nadzieję, że nie czerpie pani swojej wiedzy o ludziach wyłącznie z gazet - skrzywił się z niesmakiem. - Czytałem tamten artykuł, więc żeby uprzedzić pani następne pytanie, powiem: nie! Wybierając kolejne narzeczone, nie kieruję się wielkością ich biustów.

- Oczywiście, że nie. Wcale pan na takiego nie wygląda!

- Co za słodycz w głosie... Z panią to dopiero miałbym twarde orzech do zgryzienia...

- Zależy, jak by się pan do tego zabrał.

- Jak to? - wybuchnął śmiechem. - Próbowałbym zmiękczyć pani skorupę swoim wdziękiem! Wrodzonym czarem!

- Wobec tego doradzam ostrożność. Może pan połamać zęby.

- Mówiłem pani, że lubię ryzyko. Właściwie mam duszę hazardzisty.

C.J nie mogła zrozumieć, dlaczego drżą jej ręce, a serce wali jak młotem. Nie poraziła jej ani męska uroda Garretta, ani jego pewność siebie. Raczej sposób, w jaki na nią patrzył... coś nieuchwytnego w tonie jego głosu. Otworzyła drzwi gabinetu Bertie, ale zawahała się i przystanąła w progu.

- Dlaczego nie przedstawił się pan... od razu?

- Nie dała mi pani szansy.

- Wcale pan nie próbował.

- Byłem zaskoczony... delikatnie mówiąc. Po tym, co opowiadała mi o pani Bertie, spodziewałem się, że jest pani bardziej...

- Bardziej jaka? - C. J. świdrowała Garretta kpiącym wzrokiem.

- Poważna. Dystyngowana.

- Bywam dystygowana, panie Jameison, kiedy mam na to ochotę, co, prawdę mówiąc, zdarza się coraz rzadziej.

- Opiekuje się pani Bertie jak własną matką.

- Owszem - uśmiechnęła się. - Czasami mam ją ochotę udusić, ale... tak, martwię się o ciotkę i zabiłabym każdego, kto...

- Rozumiem - uśmiech nie zniknął z jego twarzy. - Pani ciotka negocjuje ze mną pewną umowę i - mam nadzieję, że poprawię pani humor - to ona w tej grze rozdaje karty. Stracić wszystko mogę tylko ja.

- Normalne. - C. J. rozpogodziła się. - Ona zawsze rozdaje karty i zawsze wygrywa. Wobec tego życzę panu, żeby Bertie okazała się wspaniałomyślna i nie puściła pana z torbami.

- Nie będzie tak źle - mruknął niewyraźnie. - Szczerze mówiąc, ja też nastawiam się na udane przedsięwzięcie.

- Ach tak... - Poczła ciarki na plecach. Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. Drażnił ją tym świdrującym wzrokiem, chociaż nie była pewna, czy robił to świadomie.

- Mam nadzieję, że oszczędzi pan Bertie szczegółów naszego niefortunnego spotkania. Mogłaby je opacznie zrozumieć i... niepotrzebnie się denerwować.

- Opacznie zrozumieć fakt, że próbowała pani mnie zabić?

- Nie próbowałam pana zabić, Jameison! Niech pan już, do diabła, przestanie...

- Mam na imię Garrett. Jeżeli przestanie pani mówić do mnie: Jameison, nie pisnę nikomu ani słowem, że...

- Obiecujesz?

- Przysięgam. I proponuję przypieczętować zgodę pocałunkiem.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Że co proszę... - C. J. z trudem złapała oddech. - Dzięki, Garrett.

Zaśmiał się cicho. Hipnotyzując C. J. spojrzeniem, zbliżał się do niej maleńkimi krokami, tak wolno i płynnie, że kiedy się zorientowała, nie było już odwrotu. Stała w kącie między biurkiem a biblioteczką, siłą woli wytrzymując wzrok Garretta.

Ani myślała dawać mu satysfakcję. Pokazać, że jest zdenerwowana.

Piekielnie zdenerwowana.

Żeby choć rozumiała, dlaczego...

Spokojna głowa. Nic jej przecież nie grozi. Wątpliwe, żeby „Rekin z Miami” zagustował nagle w chudej, piegowatej brunetce z szopą niesfornych włosów... Czytała o jego blond pięknościach - z nogami do szyi, wspaniałymi biustami, zębami jak z reklam pasty colgate...

Do niego pasowałaby Chastity O'Roarke... której Garrett Jameison z pewnością przypadłby do gustu. O, tak! Garrett do złudzenia przypominał lorda Jamie'ego Kildonana. Ten sam rzymski profil, identycznie ciemne włosy, wydatne usta... Wystarczyłoby go przebrać w bryczesy, luźną koszulę z białego jedwabiu, dać konia i szablę...

C. J. poczuła na ramionach gęsią skórkę. Zdała sobie nagle sprawę, że Garrett patrzy na nią wyczekująco, jak gdyby zapytał o coś i nie otrzymał odpowiedzi.

- Słucham...?

- Powiedziałem, że zupełnie inaczej wyglądasz.

- Inaczej? - zapytała ochryplym głosem. Stał tuż przy niej. Za blisko. Znajomy pokój wydał jej się nagle ciasny i duszny. Oddychała nierówno. W powietrzu przesyconym wonią męskich perfum, garbowanej skóry oraz dębowych beczek, w których przechowuje się whisky, C. J. czuła jeszcze inny zapach: tajemniczy, egzotyczny... i ogromnie podniecający. Nie wiadomo dlaczego, pomyślała o mrocznych uliczkach Zanzibaru czy Tangeru.

- Suknia - powiedział cichym głosem. - Włosy. Perfumy... Po prostu inaczej.

- Uhm... Chodźmy już. Będą się dziwili, że tak długo... - C. J. westchnęła głęboko. Modliła się w duchu, żeby Garrett nie zauważył jej rozpalonych policzków. - Powinnam cię o coś uprzedzić, zanim...

- Śmiało!

- Otóż Bertie... Musisz wiedzieć o jej zakusach...

- Na co?

- Nie na co, tylko na ciebie.
- Bertie?! Chcesz powiedzieć, że...
- O Boże, nie! Czuję się... cholernie głupio.
- Więc wyrzuć to z siebie i koniec.

- Otóż ona... na pewno opowiadała ci o mnie niestworzone rzeczy. Moja ciotka ma zwyczaj zapraszać na wyspę mężczyzn... ze względu na mnie.

- A więc o to chodzi! - Garrett uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Od początku podejrzewałem, że za zaproszeniem na kolację kryje się coś więcej. Kiedy Bertie powiedziała mi, że mieszka z wnuczką, pomyślałem sobie, że starsza pani bawi się w swatkę. Zgadłem?

C. J. pokiwała głową.

- Jest niepoprawna! Ubzduriała sobie, że bez jej pomocy nigdy nie poznam właściwego mężczyzny, nie zakocham się i zostanę starą panną. - C. J. poczuła, że opada z niej napięcie. Spojrzała Garrettowi w oczy i roześmiała się. - Sądzę, że twoja reputacja „supermena do wzięcia” zachęciła cioteczkę. Przygotowała plan strategiczny i, możesz mi wierzyć, niełatwo da za wygraną. Wiesz co? Dla świętego spokoju moglibyśmy ją powodzić za nos... jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Po prostu... nie przejmuj się moim dziwnym zachowaniem. Będę plotła bzdury, cokolwiek, byle nas nie męczyła.

- Jednym słowem... mogę spać spokojnie.
- Przysięgam, że z mojej strony nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.
- Szkoda.
- Słucham?

- A jeżeli ja nie chcę spać spokojnie?

- Ale ja... myślę, że naprawdę powinniśmy już wracać. Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu.

- Chodźmy. - Garrett musnął ręką jej nagie ramię. - A teraz całkiem poważnie, C. J. : przestań się martwić intrygami Bertie. W tych sprawach miewam własne zdanie. W końcu jeśli do tej pory nikt mnie nie wyswatał...

Przez trzy dni sprawy Garretta nie posunęły się ani na krok.

Wylegiwał się na plaży, podziwiał urodę wyspy, rzucał kamieniami w morze... i coraz bardziej się niepokoił.

Pomyśleć tylko, że spodziewał się komplikacji w sprawach Parsons Industrial, natomiast z dziewczyną miało mu pójść jak z płatka. Stało się odwrotnie. Strona prawna układu z Bertie nie budziła żadnych zastrzeżeń, ale C. J. przyprawiała go o bezsenność.

Trudno zalecać się do dziewczyny, jeżeli przypadkowe spotkanie w korytarzu, krótkie jak mgnienie oka - najczęściej na odległość - bywa jedyną okazją w ciągu dnia...

Czuł się jak tropiciel rzadkich okazów ptaków. Wchodził do pokoju, zaciągał się delikatną wonią jej perfum, to znów słyszał w korytarzu odgłos kobiecych kroków albo perlisty śmiech... Kiedy szybko odwracał głowę, już jej nie było. C. J. przypominała o swoim istnieniu i znikła jak zjawą.

A może źle się starał...

Musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Mimo zachęt Bertie, mimo sympatii, jaką do niej żywił, cała ta sprawa budziła w nim lekki niesmak.

Nie do końca rozumiał, dlaczego - Bertie naprawdę kochała swoją cioteczną wnuczkę - ale coś było nie tak...

Nie miał zamiaru wykorzystać C. J. w żadnym znaczeniu tego słowa. Nawet jej nie uwodził... to znaczy nie ciągnął do łóżka dla własnej przyjemności bez względu na konsekwencje. Nie - z C. J. to po prostu nie mogło się zdarzyć. Dotrzymałby słowa. Byłby najlepszym mężem pod słońcem, a ona nie dowiedziałaby się nigdy, że podpisał cyrograf. No i Bertie miała rację, że nadszedł czas na małżeństwo.

Może to nawet ostatni dzwonek. Każdemu mężczyźnie grozi taki przełomowy moment, kiedy uroda kawalerskiego życia błędnie, zamienia się w coś niestosownego. Czy marzy mu się rola wiecznego playboya?

Myśl o własnym ojcu przeszła go zimnym dreszczem. Po śmierci swojej żony - matki Garretta - przeobraził się w żalosego podstarzałego głupca, zmieniającego panienki jak rękawiczki. Dobrze pamięta tę nieskończoną paradę pięknych dziewczyn, które szły na lep jego nazwiska, pieniędzy, pozycji. Gazety uwielbiały go fotografować - milionera po pięćdziesiątce, w towarzystwie kolejnej dużej blondynki, dla której gotów był ośmieszyć się w każdy możliwy sposób. Tylko trzy z nich dopięły swego i zaprowadziły go do ołtarza. O trzy za dużo.

Gdyby nie staranne intercyzy przedmałżeńskie, które sporządzał Garrett, tatuś poszedłby z torbami już po pierwszym rozwodzie. I pewnie dostałby zawału.

To Garrett zajął się interesami, kiedy Jameison senior, żalosena karykatura błędnego rycerza, uganiał się po salonach, szukając idealnej kobiety.

Garrett, wpatrzony w horyzont, nie mógł oderwać się od wspomnień. Zastanawiał się teraz, czego nienawidził bardziej - odpowiedzialności, do której został zmuszony w wieku dwudziestu dwóch lat, czy wstydu, jaki przynosił mu własny ojciec, ośmieszając się publicznie „w poszukiwaniu miłości”. Tak - naprawdę nazywał to miłością!

A więc przyznaj się w końcu, stary, myślał ze smutkiem. Wchodzisz w ten zwariowany układ ze strachu. Ciarki cię przechodzą na samą myśl, że będziesz kiedyś taki jak on. Że pewnego dnia obudzisz się i zobaczysz w lustrze twarz starego samotnego mężczyzny, który próbuje osłodzić sobie tę starość... za forszę.

Wzdrygnął się i otworzył oczy. Nie. Nie ma zamiaru być taki jak ojciec. Nigdy nie zgłupieje do tego stopnia, żeby nazywać to miłością.

Pogodzony nieco z losem - i z samym sobą - Garrett uśmiechnął się i wyruszył na poszukiwanie przyszłej żony.

Lord Jamie Kildonan, pograniczny rozbójnik, łotr i namiętny kochanek, okazał się wyjątkowo trudnym tematem. Spoglądał na nią z obrazu chmurnym wzrokiem, jakby z dezaprobatą... C. J. zmarszczyła czoło i oddaliła się od płótna. Westchnęła ciężko.

Pracowała nad tym portretem całe popołudnie w pocie czoła. Dosłownie. Malowanie było dla niej czystą przyjemnością, wytchnieniem, oderwaniem się od rzeczywistości. Do dzisiaj.

Portret Kildonana od początku stawiał jej opór. Męczyła się nad każdym szczegółem. Kiedy nie umiała dobrać koloru zachmurzonego nieba, oczy Jamie'ego wyrażały ostentacyjne zniecierpliwienie.

- W porządku, nie denerwuj się - mruknęła. - Spróbujemy jutro.

Tylko że pracując w takim tempie, za nic go nie ukończy przed urodzinami Bertie.

A może... bała się z nim rozstać? Czuła, że to głupie, ale im dłużej malowała Jamie'ego, tym ważniejszy stawał się ten portret i z coraz większym zapamiętaniem oddawała się pracy. Brała do ręki pędzel... i odtąd wszystko mogło się zdarzyć. Śniła na jawie, marzenia stawały się rzeczywistością. Jamie Kildonan z „Zemsty Chastity” ożywał i miał jej wiele do powiedzenia...

Wytarła pędzel, a potem zerknęła na płótno po raz ostatni. Jak mogła tego nie zauważyć?! To nie kolor nieba ją denerwował, tylko Jamie. Z jego ustami było coś nie tak... Za wąskie wargi, zbyt zacięte...

Dość tego! Odłożyła pędzel i zabrała się do czyszczenia palety. Co się z nią dzieje? Rozmyśla godzinami nad wykrojem ust Jamie'ego Kildonana! Kolorem oczu, odcieniem brązu jego włosów.

A może Jamie Kildonan nie ma z tym nic wspólnego? Do diabła! Może chodzi o zupełnie innego mężczyznę? Tego prawdziwego - który jest tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki...

Garrett Jameison.

Na litość boską, co z nim zrobić?

Usłyszała delikatne pukanie. Podskoczyła jak oparzona, a potem ze ściśniętym gardłem próbowała się uspokoić. Nikt inny o tej porze...

Kiedy otworzyła drzwi, z nich dwojga tylko Garrett wyglądał na zdziwionego.

- Jeśli szukasz Bertie, to...

- Szukam ciebie. Ale nie spodziewałem się, że otworzysz...

- Dlaczego miałabym nie otworzyć, jeśli ktoś puka do moich drzwi?

- Unikałaś mnie. Mogę wejść do środka?

- Jeśli chcesz... - Wzruszyła ramionami i odwróciła się na pięcie. Odkryła z przerażeniem, że nie potrafi jednocześnie oddychać i patrzeć mu w oczy.

Garrett stanął jak wryty na środku pokoju. Przeciwległą do okien ścianę zajmowała olbrzymia kolekcja broni: łuki, strzały, najróżniejsze szable, a także kusze...

- Jakże się cieszę - powiedział z przekąsem - że na moje powitanie ograniczyłaś się do kuszy.

- Przepraszam... Zachowałam się jak idiotka, ale - możesz mi wierzyć - najadłam się więcej strachu niż ty. Myślałam, że zabiłam człowieka...

- Chyba niewiele brakowało...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Garrett patrzył na C. J. nieobecny wzrokiem, zastanawiając się na wpół świadomie, czy jej skóra naprawdę jest tak delikatna... Jak wyglądałaby naga w świetle księżyca... Jak by się czuła w jego ramionach... I nagle powiedział sobie: nieważne. Nie w tym rzecz. Tym razem nie o to chodzi.

Odwrócił się. Podeszedł do ściany, na której wisiały oprawione w ramy plakaty. Wszystkie kolorowe, kipiące akcją: tabuny rżących koni, legiony w bojowym rynsztunku, zgiełk bitwy, płonące zamki, lasy. Na pierwszym planie każdego obrazu - twarz tej samej ognistorudej kobiety. Jej bujne włosy opadały luźno na ramiona i obnażone do połowy piersi. Błękitne oczy płonęły gniewem i namiętnością.

Na wszystkich plakatach towarzyszył jej ten sam mężczyzna: przystojny, z nagim, przesadnie umięśnionym torsem i kpiącym spojrzeniem.

- Kim jest ta dama z... - pomógł sobie wymownym gestem - dużymi niebieskimi oczami? Chastity?

- Tak. To powiększenia okładek książek. Wydawca używał ich do celów reklamowych.

- Hm... Ciekawe.

- Niebieskie oczy czy okładki?

- Jedno i drugie! Garrett odwrócił się do C. J. i dopiero teraz zauważył rozstawione przy oknie sztalugi. Nie dokończony portret przedstawiał mężczyznę z plakatów. To samo mroczne spojrzenie, zmarszczone czoło...

- To twoje dzieło? - zapytał z niedowierzaniem w głosie, ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy zobaczył, że C. J. rumieni się jak pensjonarka.

- Prezent urodzinowy dla Bertie. To znaczy...

- wzruszyła ramionami, unikając jego wzroku. - Zawsze narzeka na projektantów okładek. Mówi, że niczego nie rozumieją, wyzywa ich od pacykarzy, wiesz, jak to Bertie... Pomyślałam więc, że rozśmieszę ją portretem Jamie'ego Kildonana. To jej ulubiony bohater.

- Dobra jesteś! - Zdaje się, że masz niewielkie pojęcie o sztuce, co?

Na bezrybiu...

- Przyznaję się bez bicia - wybuchnął śmiechem.

- Kupuję obrazy. Lokuję w nich majątek, ale jeśli chodzi o wybór... Wolę polegać na swoich marszandach.

- No to mogę cię zapewnić, że dzieło C. J. Carruthers nawet przypadkiem nie trafi do twojej kolekcji. Jestem amatorką. Wystarczająco dobrą, żeby malować dla siebie, czyli dla przyjemności. Odpoczywam przy sztalugach, dobrze się bawię, nie mam żadnych kompleksów. Może to i lepiej... Gdybym poczuła prawdziwą „iskrę bożą” i uznała się za artystkę... Kto wie? Pewnie zaczęłabym traktować swoje mazanie śmiertelnie poważnie - i byłoby po zabawie. Harówka zamiast przyjemności.

- Co jeszcze robisz dla przyjemności? - wycodził, patrząc na nią z wystudiowanym, tajemniczym uśmiechem. Poczul się nagle jak obrzydliwy szuler.

Niepotrzebnie. Słowa Garretta nie wywarły na C. J. szczególnego wrażenia. Spodziewał się zmieszania, rumieńców na policzkach, złości... Nic z tego. Może przez ułamek sekundy wydawała się dziwnie zamyślona, ale potem roześmiała się, wzruszyła ramionami i uraczyła go spojrzeniem... radosnym i kpiącym.

- Pływam, spaceruję po plaży, eksperymentuję w ogrodzie, ale tylko wtedy, kiedy nie ma w nim ogrodnika. Co jeszcze? Aha, zbieram latawce, słucham muzyki. Wypuszczam się do Fort Myers, żeby wydać trochę forsy i pogadać ze znajomymi. Łażę po wyspie. Czytam. Jednym słowem, robię mnóstwo zwyczajnych rzeczy. Dla przyjemności.

- A czy nie moglibyśmy porobić czegoś... przynajmniej niektórych z normalnych rzeczy... razem. Póki jestem waszym gościem na wyspie?

- Do głowy by mi nie przyszło, że masz czas... - uśmiechnęła się kpiąco i przymilnie - na normalne rzeczy. Myślałam, że Bertie nie wypuszcza cię z gabinetu. Problemy z Parsons Industrial to poważna sprawa i wielka rzecz, ale wymaga pełnego poświęcenia, prawda?

- Na godzinę albo dwie mógłbym się jednak wymknąć.

- Brawo. W takim razie... może wymknąłbyś się na całe popołudnie?

- Hm... - Garrett wolał nie przesadzać z entuzjazmem. - Chyba tak... Jakoś bym się wykręcił. A masz konkretną propozycję?

- Wybieram się jutro do Fort Myers. Załatwię kilka spraw w banku, a potem moglibyśmy zjeść razem lunch... jeśli chcesz.

Dziwne. Propozycja C. J. zaniepokoiła go, zamiast ucieszyć. W głębi duszy pragnął, żeby dziewczyna stawiała mu opór. Żeby zmusiła go do wysiłku, zalotów, podstępów... Żeby były trudności! A tu - zamiast bitwy jego życia - zanosilo się na zwycięstwo walkowerem.

A może niepotrzebnie się niepokoję, pomyślał gniewnie. Może to ten cały cholerny spiszek wyprowadza mnie z równowagi, a nie „łatwość” C. J.

Musi dojść ze sobą do ładu. Natychmiast. Przypomnieć sobie, w co gra i po co. Dlaczego się zgodził. A jeśli nie widzi w tym sensu, lepiej wycofać się w porę. W porę...?

- Świetny pomysł - zmusił się do uśmiechu. - Nie gniewaj się, C.J, ale krewetkowe chrupki trochę mi zbrzydły.

- Tak szybko? Po trzech dniach? - C. J. wybuchnęła śmiechem. - Nie martw się, to przejściowa awaria. Kucharka ujęła się honorem. Obraziła się na Bertie, która zbesztła ją bez powodu. Na szczęście długo nie wytrzymają, za dwa, trzy dni wszystko wróci do normy. Przez kilka tygodni będziemy jedli naprawdę po królewsku, zobaczysz! A potem Bertie znów coś palnie i historia się powtórzy. I tak to wygląda - szepnęła z filuternym uśmiechem. - Nasze życie w tym raju...

- Hm... Ciekawe, jak też się zdobywa prawo stałego pobytu w tej czarodziejskiej krainie...

- Jak to? Nie domyślasz się? - wzduszyła ramionami. - Trzeba się wżenić w rodzinę. Niestety, chwilowo ja jestem jedyną partią do wzięcia. Z kuszami... - ledwie powstrzymując się od śmiechu, pokazała palcem kolekcję broni - i całym dobrodziejstwem inwentarza.

- Kusząca perspektywa.

- Uhm! To wyzwanie dla odważnego faceta, który wie, czego chce.

- Albo szaleńca.

- O mnie mówią jedno i drugie.

- Słyszałam. Zapewne i Bertie obila się o uszy taka opinia, a jednak zaprosiła cię na wyspę. Może właśnie dlatego? Do jakichś celów potrzebowała szaleńca o mocnych nerwach...

- Co chciałaś przez to powiedzieć? - Garrett znieruchomiał.

- Nic szczególnego.. To, że moja ciotka wie, co robi, wtajemniczając cię w sprawy Parsons Industrial. - Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy podeszła do biurka. - Wybacz, Garrettcie, muszę cię wyrzucić. Przez to malowanie zupełnie straciłam poczucie czasu, a mam jeszcze mnóstwo roboty. Popatrz na to wielkie pudło, które przysłał wczoraj wydawca Bertie. Listy od miłośników jej książek, na które trzeba odpowiedzieć.

- Robicie to same?!

- Niezupełnie. W piątki przychodzi specjalna sekretarka, ale wstępne sortowanie poczty biorę na siebie. Na przykład listy stałych wielbicieli oddaję Bertie - lubi odpowiadać na nie sama. Trafiają się, niestety, anonimy, pogróżki od wariatów, które trzeba odkładać i sprawdzać, czy nie powtarza się nadawca. Tylko raz, na szczęście, musiałam zawiadomić policję. Maniak okazał się nieszkodliwy, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Musi ci to zajmować mnóstwo czasu...

- Korespondencja to pestka. Jestem prawą ręką ciotki w interesach, maszynistką, osobistą sekretarką, specjalistką od reklamy, spowiednikiem, chłopcem do bicia... Bóg wie czym jeszcze... Co sobie ponarzeka, to moje, ale szczerze mówiąc, uwielbiam tę robotę!

- Intuicja mi podpowiada - Garrett patrzył na C. J. z niekłamanym podziwem - że praca z Bertie wymaga większej przytomności umysłu niż zarządzanie rodzinnym koncernem.

- Ale jest sto razy zabawniejsza.

- To zależy od punktu widzenia...

- Podobnie jak większość spraw w naszym życiu, panie Jameison - powiedziała C. J. dobitnie.

- Garrett - odparł lodowato. - Zdaje się, że zawarliśmy pewną umowę.

- Tak, przypominam sobie. Choć w interesach nie istnieją umowy, których nie można renegecować. Ale komu ja to mówię! Podobno jesteś mistrzem w udowadnianiu, że czarne może być białe i na odwrót... I uważasz, że nie ma rzeczy niemożliwych. - C. J.

uśmiechnęła się słodko i usiadła za biurkiem. Uznała pogawędkę za zakończoną.

Popołudnie wydawało się Garrettowi nie mieć końca. Minuta wlokła się za minutą, godzina za godziną. Zamknął się w gabinecie Bertie, żeby popracować, ale lektura planów strategicznych oraz raportów finansowych przyprawiała go o migrenę. Litery zaczęły skakać przed oczami.

Zdenerwowany, sięgnął do teczki po okulary. Nowe, nie używane, pierwsze w życiu okulary do czytania.

A niech to wszyscy diabli!

Następne będą włosy. Najpierw siwizna, czy od razu łysina? A co dalej? Brzuch? Łamanie w kościach? Zrezygnujemy z tenisa, potem z biegania... I z czego jeszcze? Pełna abstynencja?

Starzejesz się, chłopie. Cholera. A niech to jasna cholera!

Jego ojciec przyznał kiedyś, że nic go tak nie przeraża, jak myśl o samotnej starości. Minione szczęście - ukochana żona, dzieci, z których był dumny, dom pełen radości, bogactwo, zawodowe sukcesy... - wszystko to okazało się bez znaczenia. Nic nie koło jego panicznego lęku przed samotnością.

Garrett wpadł wtedy w szał. Wygarnął ojcu, że wolałby żyć na bezludnej wyspie, niż ponizac się i robić z siebie głupca.

Zawstydził się swoich słów, widząc, jak ojciec pąsowieje, niemal kuli się z bólu, ale stało się. Często wspominał tamtą nieszczęsną rozmowę. W ważnych chwilach. Kiedy myślał

o własnej przyszłości, gdy kolejni przyjaciele zakładali rodziny, kiedy jego młodszemu bratu urodziło się pierwsze dziecko...

Dosyć tego! Zerwał się z krzesła i spojrzął na zegarek. Dochodziła północ. Co najmniej od dwóch godzin myślał o wszystkim, tylko nie o Parsons Industrial. Właściwie śnił na jawie. Wspomnienia mieszały się z marzeniami, obsesje ojca z jego własnym strachem.

Cały dom spał. Garrett zgasił światło, zamknął za sobą drzwi gabinetu i dopiero w ciemnym korytarzu, przy schodach prowadzących do kuchni, usłyszał ciche dźwięki muzyki. Radio albo telewizor... A więc nie tylko on cierpiał na bezsenność. Może to kucharka planuje zemstę na niewdzięcznej pracodawczyni...

Uśmiechnąwszy się pod nosem, pomyślał, że warto byłoby zajrzeć do kuchni. Nagle zrzędała mu mina. Dostrzegł zgarbioną sylwetkę mężczyzny. Powoli, drobnymi kroczkami intruz zmierzał do skrzydła domu, w którym mieszkała Bertie. Garrett przyłgnął plecami do ściany i wstrzymał oddech. Zaczął iść na palcach w kierunku telefonu... Bzdura! Zaklął cicho. Najbliższy posterunek policji znajdował się w Fort Myers. Nawet gdyby funkcjonariusze zechcieli się pospieszyć i wsiedli do najszybszej motorówki, byłiby tutaj za dwadzieścia minut...

Dwadzieścia minut to o dwadzieścia minut za dużo. Zaklął raz jeszcze. Zacisnął dłonie w pięści i ruszył do przodu, marząc o szpadzie, jakiej używał Jamie Kildonan. Zatrzymał się przed zakrętem korytarza, wychylił głowę... i zmartwił. Światło księżycy, które wpadało przez szerokie, przeszklone drzwi prowadzące na taras, oświetlało drogę do apartamentu Bertie oraz... mężczyznę w piżamie.

Winthrop.

Niech ja skonam...

Już chciał otworzyć usta, żeby spytać Winthrupa, czy nie potrzebuje pomocy, bo jeśli Bertie źle się czuje, jeśli coś się stało... jeśli...

Zagwizdał. Winthrop gwizdał!

Niech mnie diabli... Garrett ukrył się w cieniu. Wierzchem dłoni zasłonił oczy, a potem stał jak słup soli kilka dobrych minut, wstrzymując oddech. Ładnie by wyglądał w roli szpiega.

Winthrop zniknął za drzwiami, nie czekając na zaproszenie, Garrett zaś wycofał się do kuchni, a stamtąd do ogrodu. Ty stary diable, myślał z podziwem. Więc tak się mają sprawy na wyspie Paradise... Wszystko jest inne, niż mogło się wydawać w pierwszej chwili.

Nucąc pod nosem, okrążył patio i przez bramę w żywopłocie dostał się w pobliże basenu. Kiedy oglądał to miejsce w dzień, po raz pierwszy, zaniemówił z zachwytu.

Pływaliście rozmiarów olimpijskich otaczały kamienne posągi oraz kolumny oplecione winoroślą. Mozaikowe dno, na którym widniały trzy nagie złotowłose syreny igrające z delfinami, wydało się Garrettowi tak piękne, że aż nieprawdziwe. Mógłby na nie patrzeć bez końca.

- Mój pradziadek zaangażował do tej roboty rzemieślników z Malty - usłyszał aksamitny głos za plecami.

Nim zdążył się obejrzeć, C. J. stała u jego boku w błękitnym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym...

- Wybuchł skandal. Sto lat temu nagie piersi budziły okropne zgorszenie. Delegacja najprzystojniejszych dam z okolicy przysłała do pradziadka z petycją, żeby artyści domalowali ruszałkom szaty... Możesz to sobie wyobrazić?

Garrett patrzył na C. J. i wyobrażał sobie coś zupełnie innego... Błądził wzrokiem po jej zgrabnym opalonym ciele, a w jego spojrzeniu dziewczyna dostrzegła mieszaninę zachwyty i niedowierzania. Przypomnił sobie tamtą C. J., z kuszą w ręku... Zaśmiał się gardłowym, wymuszonym śmiechem...

- W pępku jednej z syren znajduje się magiczne szkiełko. Przyniesie szczęście każdemu, kto potrafi je potrzebować w odpowiedni sposób.

- Cała ta posiadłość... - Garrett pokręcił głową - jest jakby nie z tej ziemi. Trochę starej Anglii, trochę włoskiego baroku, sam nie wiem, co jeszcze... Podmuchał Orientu, Indii... Wszystko razem sprawia dosyć... nierealne wrażenie.

- Chcesz powiedzieć, że jest pretensjonalna, prawda? Pomieszanie z poplątaniem, kicz, przerost ambicji i tak dalej. Jednym słowem artystyczny amok... - C. J. kpiła w żywe oczy. - I wiesz, co ci powiem? Masz rację! Wszystko tu dowodzi jednego: że nawet za takie pieniądze nie można kupić dobrego smaku. Chociaż, dzięki Bogu, sprawy zmierzają w dobrym kierunku. Za czasów pradziadka - mówię poważnie - po tych ogrodach spacerowały tygrysy i niedźwiedzie. Sprowadzano stada jeleni i dzików, żeby mój protoplasta miał na co polować.

- Utrzymanie tego musi kosztować fortunę.

- A ten zawsze o pieniądzech - westchnęła z uśmiechem. - Biznesmen w każdym calu. Tak, masz rację. Mnóstwo forsy. - Nagle skrzywiła się i posmutniała. - Koszty utrzymania rosną z roku na rok w zastraszającym tempie. W końcu trzeba będzie spojrzeć prawdzie w oczy i albo zdecydować się na poważną renowację, albo stąd uciekać.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Bertie chciała opuścić Paradise. Sądziś, że zniosłaby to psychicznie? Nie przesadza się starych drzew...

- Nic nie trwa wiecznie - odparła spokojnie, patrząc na otulony mrokiem dom. - Nawet Paradise.

Sposób w jaki to powiedziała, przypomniał Garrettowi słowa jego ojca. „Nie można zatrzymać czasu”, powiedział tuż po śmierci matki. „Już nigdy nie będzie tak, jak było, choćbyś walił głową w ścianę”.

Odsunął od siebie uporczywe wspomnienie. Myśli o ojcu nachodziły go coraz częściej, w najmniej pożądanym sytuacjach.

- Nie za późno na pływanie?

- Przeciwnie. Zmęczenie pomaga mi zasnąć. Wolę pływać niż łykać prochy.

C. J. odwróciła się i stanęła na brzegu basenu. Garrett zagryzł wargi. Patrzył jak urzeczony na jej lśniące ramiona, na wpół odsłonięte pośladki i plecy...

Ku swojemu zdumieniu, poczuł charakterystyczny dreszcz w łędźwiach. Miły prąd wędrujący w górę kręgosłupa, aż po czubek głowy.

Przy odrobinie szczęścia wszystko mogłoby się ułożyć. Obojgu byłoby łatwiej, gdyby nie musieli udawać w łóżku.

C. J. wymyślała sobie w duchu od idiotek. Czy naprawdę chciała zrobić wrażenie na kimś takim jak Garrett Jameison?! Chyba postradała zmysły. Nawet jeśli zdarzają się cuda, nie powinna zaczynać w ten sposób...

Kłopot polegał na tym, że C. J. nie wiedziała, w jaki sposób zarabia się na cuda. Jak się do tego zabrać? Całą swoją wiedzę o sztuce subtelnego uwodzenia zawdzięczała Chastity O'Roarke. Niestety. Jakoś nie znajdowała w jej doświadczeniach wzoru dla siebie. Tak naprawdę Chastity nie musiała niczego robić! Mężczyźni się o nią zabijali. Wystarczyło jedno powłóczyście spojrzenie, zwilżenie warg, westchnienie, które unosiło jej bujne piersi...

Cholera! Sprawa zdaje się banalnie prosta: kobieta uwodzicielska to taka, która ma czym oddychać. Kropka. C. J. zerknęła mimowolnie na swój dekolt. Jej piersi nigdy nie falowały. W ogóle nie rzucały się w oczy, a jeśli budziły coś w mężczyznach, to wiarę w ich autentyczność. Więc niby czym miała oszołomić najprzystojniejszego playboya z Miami? Chudymi nogami czy tym śmiesznym kostiumem, który, zamiast odsłonić kobiece wdzięki, demaskował ich brak?

- Możesz dotrzymać mi towarzystwa... jeśli chcesz... - Kiedy zerknęła na Garretta przez ramię, następane słowo uwięzło jej w gardle.

Stał bez ruchu, niczym kamienny posąg, oczami wędrując po jej ciele. Ogarnęła ją panika. Tak bezwstydnie łakomym spojrzeniem Jamie Kildonan hipnotyzował Chastity...

Przez ułamek sekundy myślała, że podejdzie do niego... i niech się dzieje, co chce. Bała się, że za chwilę nie będzie dla niej ratunku, rozklei się, przestanie nad sobą panować. Oddychała nierówno, słysząc bicie własnego serca.

Przez kilka sekund napiętej ciszy tkwiła nieruchomo w miejscu, wpatrując się w wodę. Nie. Nie zrobi niczego głupiego. Ucieknie. Uniosła ręce, przygotowując się do skoku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wynurzyła się w połowie długości basenu. Otrząsnęła z wody, zatrzymała na chwilę... i nie odważyła się obejrzeć za siebie. Popłynęła dalej.

Woda wydała jej się wyjątkowo miękka i jedwabista. Próbowwała skupić się na tym wrażeniu, na przyjemności kąpieli... Nie udało się. Tak między Bogiem a prawdą... Bertie ma rację. Już czas. Czas zacząć myśleć o małżeństwie, rodzinie. O przyszłości. Żaden raj na ziemi, nawet Paradise, nie trwa wiecznie. Tylko dzieci mają prawo wierzyć, że jest inaczej.

Nie było go. C. J. popatrzyła na przeciwległy koniec basenu. Niemożliwe... Krew nabiegła jej do twarzy ze złości i wstydu. A jednak. Garrett sobie poszedł! Po prostu. Potraktował jej zaproszenie tak, jak na to zasługiwało. Ale z niej idiotka!

Niby dlaczego miałyby wskoczyć za nią do basenu? Kompletnie ubrany... A może nie ubrany?! Po co w ogóle miałyby tracić czas? Garrett Jameison, którego zna cała Floryda, nie musi błażnić się przed jakąś narwaną panienką, tylko po to, żeby...

Czyjaś ręka chwyciła ją za łokieć i niemal w tej samej chwili, zanim zdążyła krzyknąć, znalazła się pod wodą.

- Przepraszam - powiedział Garrett, kiedy C. J. z zamkniętymi oczami, łapiąc z trudem oddech, wynurzyła się na powierzchnię. - Skorzystałem z zaproszenia.

- Ale... ale co ty masz na sobie? - wyrwało jej się bezwiedne, rozpaczliwe pytanie. - To znaczy... chciałam...

- Trochę za późno, żeby się o to martwić, nie sądzisz? - Jego zęby połyskiwały w radosnym uśmiechu. - Zresztą zbliż się do mnie i sama zobacz... Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć.

- Nie chcę. - C. J. doszła nieco do siebie, ale zupełnie nie wiedziała, co robić dalej. Zaczęła odgarniać z twarzy mokre włosy.

Ku jej radości, w jednym z okien na drugim piętrze zabłysło światło.

- Spóźnił się dzisiaj... - uśmiechnęła się. - Chyba czekał, aż skończysz pracę i wyjdiesz z domu.

- Winthrop? - spytał Garrett rozbawionym głosem, wycierając oczy. - Już zgasił światło. A więc wiesz o wszystkim?

- Oczywiście, że wiem! - zaśmiała się cicho, nie przestając poruszać nogami. - W końcu to moja cioteczna babka.

- Od dawna trwa ta historia?

- Odkąd pamiętam. Co najmniej od dwudziestu lat. Ale nikt nie powinien o tym wiedzieć, więc trzymaj język za zębami.

- Słucham? Nikt nie powinien wiedzieć... Po dwudziestu latach?

- Winthrop dba o reputację Bertie - odpowiedziała chłodno. - Oczywiście, wszyscy o tym wiedzą, ale udajemy ślepych i głuchych. Właśnie dlatego kilka lat temu wyprowadziłam się z głównego domu. Po co utrudniać im życie. Wśród służby panuje niepisana umowa, że rano, dopóki Winthrop nie wróci do siebie, nikt nie ma prawa kręcić się po korytarzach.

- Jak sądzisz - Garrett parsknął śmiechem - czy Winthrop uczyni z niej kiedyś przyzwoitą kobietę?

- Nie tracę nadziei... Widzisz, na wiele spraw Bertie zachowała staroświeckie poglądy. Obawia się chyba - tak, tego jestem pewna - że jej małżeństwo z lokajem zaszkodziłoby mojej reputacji. Śmieszne, co? Ale póki oboje są szczęśliwi, to nic nie ma znaczenia. Lepiej się nie wtrącać.

Garrett nie odpowiedział. Patrzył w zamyśleniu na okno, w którym zaledwie przed minutą zgasło światło. C. J. odwróciła się i odpłynęła. Syreny na dnie basenu uśmiechały się mądrze i tajemniczo, jak gdyby znały odpowiedź na pytania, których ona, dorosła kobieta, nigdy dotąd nie śmiała sobie nawet zadać...

Nie oglądając się na Garretta, wzięła głęboki oddech i zanurkowała. Prosto do syreny, w której pępku umieszczony był sztuczny szafir. Dotknęła kamienia, na szczęście, tak jak robiła to od dzieciństwa.

Nic nadzwyczajnego się nie stało. Nie przeszył jej żaden prąd ani nie zadrżała ziemia, a jednak poczuła się znacznie pewniej.

Kątem oka dostrzegła ramię Garretta, a potem jego dłoń na szafirowym kamieniu. Choć nie powinna była się dziwić, serce skoczyło jej do gardła.

Zauważyła z ulgą, że miał na sobie slipki. Patrzyła na jego wąskie biodra, płaski brzuch, tors pokryty gęstwiną czarnych włosów, muskularne ramiona... Czowała, że brakuje jej powietrza, ale panicznie bała się wynurzyć.

Garrett jakby czytał w jej myślach. Objął dłońmi jej talię, odbił się nogami od dna i pociągnął C. J. w górę. Wynurzyli się jednocześnie. Zaklinała serce, żeby biło trochę ciszej, że przecież nic się nie dzieje... ale serce nie słuchało.

C. J. nabrała powietrza. Zaczęła poruszać nogami, energicznie, żeby utrzymać się na powierzchni o własnych siłach. Jej uda splotły się z udami Garretta. Zaczęła gwałtownie się szamotać, żeby uwolnić się z pułapki, ale każdy ruch zbliżał ich do siebie jeszcze bardziej.

Biodra obojga zderzały się ze sobą w taki sposób, że nawet Chastity O'Roarke straciłaby zimną krew.

C. J. usłyszała, że Garrett wciąga z sykiem powietrze. Zrozumiała, że swoim oporem pogarsza tylko sprawę. Uspokoila się. Po chwili zaczęli płynąć oddzielnie, ramię przy ramieniu.

Jedynie ręka Garretta spoczywała na jej biodrze, ciepła i mocna, nie budząca podejrzeń... Kiedy palcami drugiej dłoni przyciągnął jej podbródek, zrozumiała, jak bardzo się myliła. Najpierw musnął jej wargi, delikatnie, zapraszając do zabawy. Potem począł całować je gwałtownie i zachłannie, nie dając C. J. czasu na wahanie. Nie pomyślała, że otwierając się na ten pierwszy pocałunek, wypuszcza na wolność nieokiełznane żywioły. Chciała, żeby ją całował bez końca, ale Garrett uniósł nagle głowę, pogłaskał jej biodro... i odpłynął na bezpieczną odległość. Dygotała cała rozpalona, bliska płaczu, gotowa błagać, żeby ją pieścił. A więc tak boli niespełnienie...

- Późno już - powiedział spokojnie, niemal przeprasającym tonem.

C. J. zastanawiała się nad jednym: co on teraz czyta w jej oczach.... Prawdopodobnie to samo, co ona w jego... Coś się wydarzyło... Coś się między nimi dzieje. Coś, czego nie rozumiała i może nawet nie chciała zrozumieć.

- Do jutra wieczór... na kolacji.

- Tak... - Wyciągnął do niej dłoń. Na jedno mgnienie oka ich palce splotły się ze sobą. C. J. zamarła, ale Garrett wyrwał rękę jak oparzony i szybkim kraulem popłynął do brzegu. Wskoczył zwinnie z basenu, pozbierał ubranie i zniknął w różanym gąszczu. Dopiero po kilku sekundach C. J. zorientowała się, że wciąż wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze, a potem westchnęła ciężko niczym bezradne, zagubione dziecko.

- Podobno zabrał cię wczoraj na kolację. - Tymi słowami Bertie przywitała C. J. w swoim gabinecie, dwa dni później. - Jerome opowiadał, że trzymacie się za rączki, a ja widziałam, jak całowaliście się po północy przed Periwinkle House. Z wielkim zapamiętaniem. Podejrzewam, że dobrze się bawicie. Czy moje podejrzenia nie wydają ci się, jak zwykle, wyssane z palca?

- A mnie się zdaje, że jesteś obrzydliwie wścibska.

Gdybyś choć na minutę mogła oderwać się od moich spraw, a zajęła swoimi, byłabym ci niezmiernie zobowiązana - wycodziła C. J. przez zęby. - Podpisz się pod tymi listami.

- Panna niedotykalska, co? A propos: przespałaś się z nim?

- To pytanie jest obraźliwe. Proszę o następne.

- To znaczy, że nie - fuknęła Bertie. - Moje dziecko, latka lecą, nie stajesz się coraz młodsza. Ja w twoim wieku nie uchodziłam za cnotkę. Co to, to nie!

- Nie przechwalaj się. I nie chcę wiedzieć, co robiłaś w moim wieku, rozumiesz? Przysłali pierwszą korektę „Uwolnienia Chastity”. Do piątku masz czas na poprawki. Nie dłużej.

- Dokąd Garrett zabrał cię na kolację?

- Do małej restauracji koło portu. Na ryby. I nie zabrał, tylko jedliśmy razem kolację. To o niczym nie świadczy.

- Powiesz mi zaraz, że ten pocałunek przed twoim domem też o niczym nie świadczy.

- Tak trzymaj - odparła uprzejmie C. J. - Podsuwasz mi kolejny argument... w wiadomej sprawie. Czy bardzo ci się spieszy do Domu Spokojnej Starości w Hillcrest?

- Nie zrobisz tego. - Bertie podpisała pierwszy list. - Mimo wszystko za bardzo mnie kochasz, rybeńko.

- Przekonasz się na własnej skórze - szepnęła miękko - co zrobię, jeśli przebierzesz miarkę. Podpisuj następne listy, cioteczko.

Dość długo jeszcze na ustach Bertie błąkał się nikły uśmiech, ale nie powiedziała nic więcej. Pograżyła się w lekturze listów. C. J., odetchnąwszy z ulgą, stanęła przy ogromnym oknie wychodzącym na ogród. Nieobecny wzrokiem śledziła ogrodnika, który przycinał azalie.

Podobnie spędziła całe przedpołudnie. Dziwiła się, że siedzi beczynn timer przy biurku, nie wiedziała, w jaki sposób znalazła się przy oknie, zapomniała, o czym myślała przed chwilą... Po wykręceniu numeru nie mogła sobie przypomnieć, do kogo ani po co dzwoni.

Zapamiętała natomiast każdą sekundę poprzedniego wieczoru. Garrett przyszedł po nią około czwartej. Wpadli w Fort Myers do kilku galerii i butików. Nie kupowali niczego, tylko przez cały czas rozmawiali. Kolację jedli w jakiejś restauracji nad morzem, śmiejąc się i rozmawiając, gdy nagle Garrett, nie zważając na jej protesty, zaproponował, żeby pójść potańczyć. Więc udali się do małego przytulnego baru, który polecił mu jakiś znajomy.

Wypili coś dobrego, a potem zaczęli tańczyć. Objęci, przytuleni do siebie po raz pierwszy. Garrett pocałował ją. Miał takie ciepłe, wilgotne wargi i pachniał koniakiem. Potem całowali się na przystani, czekając na Jerome'a, a później w motorówce.

Czuła się jak w transie. Oszołomiona jego bliskością, zapachem skóry, dotykiem jego palców. Kiedy przyплыnęli na wyspę i pożegnali się z Jerome'em, C. J. podjęła decyzję, że zaprosi Garretta do siebie. Niech się dzieje, co chce... Pragnęła tego jak nigdy dotąd.

W pewnej chwili zawahał się. Stali przed drzwiami z zamkniętymi oczami, trzymając się za ręce. Czują, że Garrett walczy z samym sobą.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, C. J. - wykrztusił w końcu. - Nie najlepszy, wierz mi... - Po raz pierwszy w życiu słyszała tak czuły męski głos.

Przygarnął ją do siebie gwałtownie, na przekór temu, co powiedział przed chwilą. Jego wargi miały smak brandy i morskiej soli. Całowali się nieporadnie i ślepo. Kiedy tulił ją do siebie, chciała błagać, żeby ją pieścił, żeby nie zostawiał w takim stanie...

Garrett przycisnął ją mocniej. Jego palce błędziły po wypukłościach bioder, pośladkach, paciorkach kręgosłupa. Gdyby C. J. potrafiła wydobyć z siebie jakieś słowo, błagałaby, żeby dotykał jej piersi, żeby dotykał całego ciała, żeby ją kochał! Przecież czuła, jak bardzo jest podniecony. Kołysali się razem w zmysłowym rytmie, a Garrett wtulał się w nią tak, iż C. J. nie wiedziała, gdzie się kończy jej własne ciało, a zaczyna jego... A jednak powiedział: nie.

Zdjął ręce z jej szyi i pogłaskał po policzku.

- Dobranoc, C. J. - wykrztusił ochryplym głosem.

- Dobranoc - szepnęła. Bezradna i zażenowana, zastanawiała się, czy powinna mu coś powiedzieć. Nie... Przecież powiedziała już wszystko, nie używając w tym celu ani jednego słowa. Wystarczy.

Uśmiechnął się i odszedł.

- Masz zamiar tak stać i marzyć o niebieskich migdałach do wieczora? Czy może jednak wyślesz korespondencję? - Głos Bertie w brutalny sposób przywołał ją do rzeczywistości.

Odrzuciła się od okna z kamienną twarzą. Podeszła do biurka, żeby zabrać listy, i wtedy dostrzegła w ręku Bertie następnego papierosa.

- Dowiem się wreszcie, kto ci dostarcza ten towar, ale, przysięgam, obedrę łobuza ze skóry.

- Mam siedemdziesiąt sześć lat. Gdyby dane mi było umrzeć przez papierosy, już dawno gryzłabym ziemię.

- Doktor Willerson uważa...

- Konował! Przeżyłam już dwóch doktorów, przeżyję i Willersona! Winthrop! Gdzie ty, do diabła, jesteś?

- Prawdopodobnie przeżyjesz nas wszystkich - odparła C. J. spokojnie - czego ci życzę z całego serca, ale dopóki ja tu mieszkam, nie będziesz palić papierosów. Wyrażam się jasno?

- Byłaś takim dobrym dzieckiem... Co się z tobą stało?

- Zmęczenie. Od dwudziestu kilku lat próbuję oszczędzić ci kłopotów.

- Niezła z niego sztuka.

- Z Willersona?

- Nie udawaj głupiej! Dobrze wiesz, że mówię o Garreecie.

- A ja nie zwracam na to uwagi.

- Bogaty, mądry, z tysiącem pomysłów na minutę... Jednym słowem: człowiek z przyszłością. Do tego jeszcze przystojny. Dobrze zbudowany. Zauważyłaś, jakie on ma bary? Pewnie, o co ja pytam! Domyślam się, po co oboje kręciliście się w nocy koło basenu. - Bertie zachichotała rubaszenie.

- Powtarzam: nie zwracam uwagi na twoje brednie. Czy zawiadomiłaś moich kuzynów, że wprowadzasz do interesu Garretta?

- Wczoraj - Bertie ponownie zachichotała. - Zastanawiam się, który z nich jako pierwszy dostanie zawału. Synkowie Bertrama zapowiedzieli się z kurtuazyjną wizytą, żeby popracować nad starą ciotką, zanim popełni głupstwo.

- Domyślam się, że załatwiłaś tę sprawę z właściwym sobie wdziękiem i taktem.

- Ma się rozumieć. Posłałam ich do diabła - powiedziała Bertie z satysfakcją w głosie.

- Winthrop!

- Będą próbowali udowodnić, że nie jesteś w pełni władz umysłowych. Zdajesz sobie z tego sprawę? Powinnaś zadzwonić do Willersona i kazać mu wysmażyć zaświadczenie o twoim doskonałym zdrowiu.

- Ach, tak? Teraz mam doskonałe zdrowie, a pięć minut temu wysyłałaś mnie do czubków, prawda?

- Wyglądasz na zmęczoną. - C. J. uśmiechała się łagodnie. - Dobrze sypiasz? Bierzesz witaminy...

- Tak, tak, tak! Nudzisz, C. J. Nie lubię, kiedy tak do mnie mówisz: bierzesz witaminy, sypiasz, nie sypiasz. Już wolę się z tobą kłócić. Winthrop! Gdzie on jest? Złośliwie mnie lekceważy. Pewnie stoi gdzieś w kącie i robi „zygu - zygu”.

- Pani mnie wołała, madame?

- Wołała? Wołała? Zdzieram sobie gardło od dziesięciu minut. Chcę się napić.

- Kawy, madame?

- Jesteś zwolniony, Winthrop!

- Tak jest. Prosiła pani o herbatę?

- Dużą whisky.

- Bardzo małą whisky - powiedziała dobitnie C. J. - I bez dolewek. Tylko na jedną nóżkę. Zaniknij potem barek na klucz, Winthrop.

- Piekło na ziemi - mruknęła Bertie. - Oto co mi zgotowaliście! Któregoś dnia poradzę sobie bez was wszystkich. Wystarczy dobre ognisko. Obłożę się własnymi książkami i skończę jak Joanna D'Arc!

- Może zapalczkę? - zapytała słodkim głosem C. J.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Joanna d'Arc! I jak tu nie kochać staruszki! C. J. z tłumionym śmiechem wypadła na korytarz. Prosto w ramiona Garretta.

- Och, co za miła niespodzianka - powiedział z diabelskim błyskiem w oku, kładąc rękę na jej plecach. - Najlepsza rzecz, jak zdarzyła mi się od rana. Dzień dobry.

- Dzień... o rany! - Listy wysliznęły się jej spod pachy i rozsypały po podłodze w promieniu kilku metrów. - Chciałam powiedzieć... dzień dobry.

- Fantastyczny. Właśnie o tobie myślałem.

- Tak? - Stała na miękkich nogach, wciągając w nozdrza zapach jego skóry. Woń, która prześladowała ją od wczoraj.

- Cóż - uśmiechnął się promiennie. - Szczerze mówiąc, bardzo często o tobie myślę.

- Naprawdę? - C. J. miała wrażenie, że zemdleje, jeśli Garrett natychmiast nie zwolni uścisku. Brakowało jej powietrza.

- Właśnie. - Bez żadnego ostrzeżenia pocałował ją w usta. Naturalnie, niemal po przyjacielsku, i dopiero wtedy zdjął rękę z jej pleców. Cofnął się o krok, z tym samym beztróskim uśmiechem, nie odrywając od niej oczu.

- Ja... To ciekawe.

- Też tak myślę. - Ni stąd, ni zowąd z tonu jego głosu zniknęło rozbawienie. - Marzyłem o tobie przez całą noc.

- Och...

- Co byś powiedziała na wspólny spacer po południu? Jakoś nie mam nastroju do pracy. Albo weźmy konie i...

- Spacer? - przeraziła się brzmieniem własnego głosu. Co się z nią dzieje! - Nie, nie mogę - odpowiedziała po chwili, nieco bardziej stanowczo.

- Mam milion rzeczy do zrobienia, mnóstwo zaległości i...

- Tym bardziej powinnaś się odprężyć, zanim...

- Nie mogę, Garrett. Naprawdę... - jęknęła żałośnie. - Agent Bertie przysłał nam dzisiaj faksem pięćdziesięciostronicowy kontrakt. Tyle w nim dziwnych kruczków i niejasności, że dziesięciu prawników miałoby się nad czym głowić. A wydawnictwo prosi o odpowiedź do piątku.

Garrett wyciągnął ręce i zamknął w nich drobne, drżące dłonie C. J.

- To był cudowny wieczór - powiedział cicho.

- Wydawało mi się, że... nie mówię tego z zarozumiałstwa... że czułaś to samo, co ja. C. J. , bardzo chciałbym, żebyśmy mieli dla siebie więcej czasu...

- Ja też, Garrett - szepnęła.

- To dobrze. - Musnął wargami jej usta i, pospiesznie, jak gdyby wstydził się nadmiernego wzruszenia, odwrócił się i zniknął za drzwiami gabinetu.

Garrett z coraz większym wysiłkiem skupiał się na pracy. Potrafił całymi godzinami siedzieć przy biurku i nie przeczytać ani jednego dokumentu. Patrzył na stos papierów najpierw bezmyślnie, a potem z uczuciem bliskim wstrętu. Taki stan rzeczy zaczął go przerażać. Do tej pory traktował pracę jak sport wyczynowy. Im wyżej stawiał poprzeczkę, tym chętniej dawał z siebie wszystko. Uwielbiał sprawy trudne, pozornie niemożliwe do przeprowadzenia, interesy na granicy ryzyka. Negocjacje, które przypominały grę w pokera.

Przejęcie stanowiska Emmetta Royce'a w Parsons Industrial nie wiązało się z żadnym ryzykiem. Nie musiał o nic walczyć, niczego zdobywać, chodziło o pokierowanie interesami Bertie, do której należał pakiet kontrolny akcji tego koncernu. Spodziewał się oczywiście, że rodzina jej brata skoczy mu do gardła, że nie obędzie się bez kilku potyczek - być może także skandalu - potem jednak wszystko przycichnie... W końcu karty w tej grze rozdaje Bertie D'Allaird, a on postara się nie popełnić błędu.

A jednak... coś go gryzło. Nie czuł dreszczu emocji jak zazwyczaj przed bitwą, nie cieszył się pewną wygraną. Tym razem było zupełnie inaczej...

Bał się. Nie potrafił nad tym strachem zapanować. Nie umiał go rozbroić w logiczny sposób... a czuł, że to bomba zegarowa z opóźnionym zapłonem. Po raz pierwszy w życiu zawodziła go intuicja.

Znał jednak nazwę swojej choroby: C. J. Carruthers.

Przyznaj się, Jameison, kpił z siebie bezlitośnie, że truchlejesz na jej widok. Jest inna. Nie pożąda ani twojej forsy, ani pozycji, ani żadnej rzeczy, która twoja jest... Nawet nie ciągnie cię do łóżka. Wydaje ci się nieznaną planetą. Zburzyła twój obraz świata. A ty jesteś biznesmenem, nie odkrywcą planet...

Usłyszał ciche pukanie. Wzdrygnął się i zanim zdążył odpowiedzieć, zobaczył głowę C. J. w uchylonych drzwiach.

- Cześć. Bardzo jesteś zajęty? - zapytała z tajemniczą miną.

- Nie - uśmiechnął się i zapytał: - Czy coś się stało?

Wśliznęła się do pokoju z wielką tacą, na której, poza filiżankami oraz dzbankiem z dymiącą kawą, Garrett dostrzegł swoje ulubione pistacjowe ciastka.

- Nic specjalnego. Bertie powiedziała, że stoczyła dzisiaj bitwę z członkami klanu Parsonów. Pomyślałam więc, że danie regenerujące dobrze by ci zrobiło.

C. J. postawiła tacę na biurku. Rozlała kawę do filiżanek, dodała śmietanki i połyżeczkę cukru, dokładnie tak, jak lubił Garrett...

- Mmm... co za zapach! Czy chcesz, żebym doszedł do wniosku, że jesteś niezastąpiona? Albo żebym się zastanowił dwa razy, zanim w ogóle stąd wyjadę?

- Może jedno i drugie... - Przynęła do biurka krzesło i opadła na nie z ciężkim westchnieniem. - Pozwolisz, że poukrywam się tu przez kilka minut? Wyobraź sobie, kucharka znów nas porzuca - trzeci raz w tym tygodniu. Kolejny rekord w tym zwariowanym domu. Ale to nie koniec! Ogródnik przyłapał psy na niszczeniu różanych klombów. A Winthrop wyniuchał, że dzieciak, który pomaga Jerome'owi na łodzi, przemycił dla Bertie papierosy i trunki. - Przyglądała oburącz swoje gęste, lśniące włosy i spojrzała na Garretta z figlarnym uśmiechem.

- To nie dom, tylko ogród zoologiczny! Powinieneś się cieszyć, że możesz stąd wyjechać, kiedy chcesz.

- No nie wiem. Ma też kilka zalet...

- A więc rozmawiałeś z moimi kuzynami. Podejrzewam, że ci grozili: udowodnią niepczytalność Bertie, założą sprawę sądową, i tak dalej.

- Niczym mnie nie zaskoczyli.

- W gruncie rzeczy to przyzwoici ludzie, naprawdę. Tylko strasznie się palą do rządu. Wiesz co? W końcu to nie moja sprawa... ale gdyby decyzja należała do mnie, przyznałabym Gordonowi i Nesbittowi więcej niezależności. Gdyby się przekonali, że im ufasz, może łatwiej znieśliby ten cios. Również z wymianą kadry byłabym ostrożna. Zaczęłabym od dołu, a dyrektorów, przynajmniej na razie, zostawiłabym w spokoju.

- Świetnie się orientujesz w układach między pracownikami... - pokiwał w zamyśleniu głową.

- Ciekaw jestem, czy masz równie dobre pojęcie o stanie finansowym korporacji, inwestycjach, partnerach...

- Siedzę wszystkie decyzje, wiem, co się dzieje... jeśli o to ci chodzi. Może nie umiałabym wymienić z nazwy wszystkich podległych przedsiębiorstw, ale doskonale wiem, gdzie są lokowane pieniądze i co się z nimi dalej dzieje... - Uśmiechnęła się chytrze, odstawiając filiżankę. - Tak więc, panie Jameison, radzę pomyśleć dwa razy, zanim spróbuje pan jakichś sztuczek.

Roześmiał się, wpatrzony w jej włosy: gęste, niesforne, połyskujące różnymi odcieniami brązu. I jedwabiste w dotyku...

Czuł je niemal pod palcami, pamiętał zapach jej skóry, smak pocałunków. Uświadomił sobie, jak bardzo pragnie tej dziwnej kobiety... Nie kontraktowego małżeństwa ani udziałów w firmie. Wszystko to bzdury, myślał z goryczą. Pragnął jej. Świadomość tego dosłownie go poraziła. Patrzył na C. J. z łagodnym uśmiechem, z trudem śledząc wątek rozmowy, opętany jedną uporczywą myślą: znaleźć się z nią w łóżku, zatracić w pieszczotach, kochać ją taką, jaka jest w rzeczywistości i taką, jaką sobie wyobrażał...

Na dzwonek telefonu oboje drgnęli i poderwali się na równe nogi. C. J. ruszyła do drzwi, ale Garrett zatrzymał ją i posadził na krześle.

- Jameison - warknął do słuchawki. - Słucham. C. J. wypila ostatni łyk kawy, a potem przeciągnęła się, mrużąc z zadowolenia. Odprężyła się dzięki Garrettowi, ale czas było zajrzeć do kuchni i sprawdzić, czy mają szansę na kolację.

- Co zrobiłeś? - krzyknął Garrett, opadając na krzesło. - Jak to? Co znaczy „ożeniłem się”? Czy ty postradałeś zmysły? Nie możesz się ożenić z tą... No nie, do diabła, teraz ty mnie posłuchaj. Wiedziałem, że będzie próbowała cię usidlić. Od pierwszej chwili, kiedy ją tylko zobaczyłem, nie miałem wątpliwości, co to za jedna. Nie sądziłem jednak, że jesteś aż tak naiwny... Nic nie rób, rozumiesz? I niech cię ręka boska broni przed podpisaniem jakichś papierów! Tak! Jutro rano wsiadam w samolot. Spakuję panience manatki, spokojna głowa... - Twarz Garretta stężała, kąciki ust opadały coraz niżej. - Rozumiem, że to wasz miodowy miesiąc - wycedził po chwili milczenia - ale nie pozwolę tej taniej...

Nawet C. J. , z odległości dwóch metrów, usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Skrzywiła się odruchowo, potem spojrzała na Garretta pytającym wzrokiem.

- Ożenił się z nią.

- Kto się ożenił... i z kim?

- Mój ojciec - syknął przez zaciśnięte zęby - ożenił się z pewną striptizerką z Vegas. Z Krystal Hart.

- Ach, tak... - C. J. postanowiła powstrzymać się od komentarza. Gratulacje byłyby nie na miejscu, ale wyrazy współczucia również nie wydawały jej się uzasadnione.

- Boże drogi! Po takiej nauczce, jaką dostał... To już trzecia albo czwarta hiena, która próbuje dobrać się do jego pieniędzy. Wydałem majątek na detektywów, którzy dogrzebali się takich rzeczy... Nie, on nie jest normalny.

- Może ona go kocha. Nigdy nic nie wiadomo...

- Kocha?! Zapewne jego konta, papiery wartościowe, jacht, odrzutowiec, kluby, do których ją wprowadza... Kocha to wszystko do szaleństwa.

- Poznałeś ją?

- Owszem. Kiedyś, po powrocie z weekendu w Las Vegas, ojciec zaczął: „Krystal to, Krystal tamto”. Czułem, co się święci, więc udałem się do niej na szczerą rozmowę. Oczywiście, równie dobrze mogłem sobie tego oszczędzić.

- Co powiedziała?

- Och, zapytaj, czego nie powiedziała! Że tatuś jest dorosły, ma prawo do własnego życia i nie potrzebuje na nic mojej zgody. Wyraziła nadzieję, że rozumiem, a jeśli nie, to... nie będę przytaczał jej słów. Że zachowuję się jak wariat, bo nie rozwiązałem swoich uczuciowych problemów po śmierci matki i...

Ku zaskoczeniu C. J., Garrett parsknął śmiechem.

- Pewnie miała trochę racji. Nigdy nie wybaczyłem ojcu, że w kilka miesięcy po śmierci matki zaczął uganiać się za babami. Uznałem to za zdradę, rozumiesz? Cholera, w końcu byłem dziewiętnastoletnim szczeniakiem! Miałem swoją szkołę, kumpli, dziewczyny na każde zawołanie. Do głowy mi nie przyszło, że ojciec może czuć się samotny. Że szuka po prostu towarzystwa.

- I sądzisz, iż nadal go szuka? Że o to chodzi?

- Tak, o nic więcej - powiedział oschle. - Oczywiście, wydaje mu się, że jest w tej Krystal zakochany. We wszystkich poprzednich też się kochał. Ale pewne na tym świecie jest jedno: że do każdego samotnego faceta o niezbyt silnym charakterze ustawia się kolejka „sióstr miłosierdzia”. To sępy płci żeńskiej, gotowe go pocieszyć za wygórowaną cenę.

- W życiu nie słyszałam bardziej cynicznych słów - zawołała C. J. gwałtownie. - Mężczyźni i kobiety zakochują się w sobie i najczęściej nie ma w tym żadnej kalkulacji. Miłość po prostu się zdarza.

- Miłość? - Odwrócił się powoli i spojrzał na nią, jakby spadła z innej planety. - Perfidna pułapka. Zakochanemu facetowi Bozia odbiera rozum. Taki biedak zrobi wszystko, da z siebie wyssać krew, byle tylko nie przejrzeć na oczy.

- Chyba już pójde - odezwała się C. J. matowym głosem. - Sprawdzę, co się dzieje na dole. Jeżeli kucharka nie zmieniła zdania, nici z kolacji.

Nie odpowiedział. Podeszedł do okna, odwrócił się do C. J. plecami, jak gdyby chciał zapomnieć, że w ogóle tu była. Co go, do cholery, napadło... Co to wszystko znaczy...

C. J. wyszła na korytarz. Nareszcie wiedziała, czym jest miłość według Garretta Jameisona...

Przez całe popołudnie starała się o nim nie myśleć. Porozmawiała z Bertie, przygotowała jej kolację, a potem poszła do siebie z postanowieniem, że odrobi zaległości w pracy.

Zamiast usiąść przy biurku, zatrzymała się przed sztalugami. Uświadomiła sobie nagle, że podobieństwo ukochanego Chastity do Garretta Jameisona staje się coraz bardziej uderzające. Jeszcze tylko oczy... są za mało wyraziste... musi wydobyć właściwy odcień złota.

C.J poddała się. Nie będzie żadnej pracy. Nie potrafiłaby się skupić na umowie wydawniczej ani nudnych listach. Wzięła szybki, gorący prysznic, owinęła się szlafrokiem, a potem z westchnieniem ogromnej ulgi opadła na fotel. Otworzyła książkę na właściwej stronie, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Otwarte! - zawołała, nie podnosząc głowy. Nikt się nie odezwał... Nagle coś ją tknęło. - O Boże! Przestraszyłeś mnie!

- Przykro mi - skłamał. - Czy to znaczy, że zaproszenie zostało odwołane?

- Myślałam, że to Bertie! Od czasu do czasu grywam z nią w karty, chociaż oszukuje jak zawodowy szuler. Miała dzisiaj przyjść na partyjkę... Jeżeli w telewizji nie będzie meczu hokejowego.

- Jest. Ogląda go z Winthropem. Pochłaniają garściami prażoną kukurydzę, tupią i przeklinają, kiedy ich faworyci dostają w skórę. Jak na starszą damę, twoja cioteczka ma wyjątkowo dosadne słownictwo, prawda?

- O tak, zawstydziłaby niejednego szewca. Co masz w ręku? - pociągnęła nosem. - Pachnie jak pizza.

- Bo to pizza. Od Giovanniego.

- Słucham? Chcesz powiedzieć, że o tej porze sprowadziłeś pizzę z Fort Myers?

- Musiałem coś wymyślić... - uśmiechał się promiennie - żebyś zechciała ze mną porozmawiać.

- A kiedy nie chciałam? Co ty knujesz?

- Nic, po prostu rozstaliśmy się, będąc w nieszczęśliwych nastrojach... Wiesz, ten telefon...

- Tak, wiem.

- No więc, pomożesz mi to zjeść czy nie?

- Z rozkoszą. Nawet dołożę się do uczyty - w lodówce znajdziesz butelkę wina.

Jedli śmiejąc się, plotkując, rozmawiając o wszystkim i o niczym. To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, pomyślał Garrett, zamknąwszy na chwilę oczy. Kiedy ostatnio

czuł się tak odprężony? Nie wysiłał się, niczego nie musiał udawać. Wszystko między nimi działo się samo. Naturalnie, bez min i niepotrzebnych gestów.

C. J. - w dzinsach, błękitnej bluzie, bez makijażu - wydawała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. Małżeństwo z nią, uśmiechał się do swoich myśli, wcale nie byłoby katorgą. Kto wie, czy nie okazałoby się najmiłszą rzeczą, jaka zdarzyła mu się w dorosłym życiu...

Wspólnie umyli talerze, a potem przenieśli się do salonu. Panował w nim półmrok i cisza. Garrett włączył płytę, podszedł do C. J. i bez jednego słowa, nie zważając na sprzeciw w jej oczach, przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami. Zaczęli tańczyć.

Drżała cała, zanim jeszcze ją pocałował. Wsunął palce w jedwabiste włosy, muskał je policzkiem, wdychał ich zapach. C. J. rozchyliła usta. Kiedy Garrett dotknął jej wargi, cichutko jęknęła.

Miała ochotę płakać. Wydawało jej się, że wie o tym mężczyźnie wszystko. Że zna na pamięć każdy muskuł, siłę ramion, ciepło oddechu, zapach i smak... a przecież dopiero to wszystko poznawała.

Całowali się gwałtownie, pospiesznie, do utraty tchu, ani na chwilę nie przestając tańczyć. Poddali się rytmowi melodii. Nie było między nimi żadnej gry, strach okazał się niczym wobec pożądania.

Nagle Garrett poczuł, że jest u kresu wytrzymałości. Pragnął wziąć C. J. na rękę, zanieść do łóżka i kochać... W rytmie tej samej melodii: powoli, głęboko, spokojnie... Przez całą noc, aż do świtu.

Nie. Za nic nie może tego zrobić... Nie teraz. Wszystko było jeszcze niejasne, skomplikowane. Nie miał zamiaru iść na skróty. Wcześniej czy później... to się stanie. Był tego pewien, ale...

- Muszę już iść - szepnął jej do ucha. - Zanim będzie za późno.

C. J. zeszywniała. Cofnęła się natychmiast, zwilżyła językiem wargi i pokiwała głową.

- W porządku - szepnęła niewyraźnym głosem człowieka, którego wyrwano z głębokiego snu. Garrett otoczył ją ramieniem i bardzo niepewnym krokiem zaczął zmierzać z nią w kierunku drzwi.

- To był... miły wieczór... - zerknął na C. J. kątem oka, zawstydzony swoją nieporadnością... i nagle, jak na komendę, oboje wybuchnęli głośnym, histerycznym śmiechem. - Więcej niż miły. Trudno mi doprawdy znaleźć słowa... - wykrztusił, chowając twarz w jej włosach.

- Mógłbyś zostać... jeszcze chwilkę.

- Nie - powiedział udreńczonym głosem. - Jeśli zostanę choć na pół chwili - szepnął miękko - nie wyjdę stąd do rana. Wiemy o tym oboje, C. J. Za wcześnie...

- A gdybym powiedziała, że nie jest za wcześnie? Gdybym poprosiła, żebyś został...?

- Nie - uśmiechał się niepewnie, głaszcząc palcem jej dolną wargę. - Nie dojrzałaś do tego, C. J. Wydaje ci się tylko, że chcesz... To chwilowy nastrój: wino, taniec... rozmowy przy księżycu.

- Ale...

- Wiesz, co się stanie, jeśli spędzimy ze sobą tę noc? Rano otworzysz oczy, zobaczysz głowę obcego faceta na swojej poduszce i... znienawidzisz mnie. Siebie zresztą też. Zacznieś mi życzyć skręcenia karku. Będziesz mnie unikała. Nie chcę, C. J., żebyśmy tak skończyli...

Chciała mu powiedzieć, jak bardzo się myli... Nie zdążyła. Garrett przycisnął ją nagle do framugi, opadł wargami na jej rozchylone usta.

C. J. pociemniało w oczach. Oddychała szybko i niespokojnie, jakby porwała ją nowa fala cudownego podniecenia. Wyciągnęła ramiona. Jego język wypełnił jej usta, czuła, jak się rozpycha i pręży, a ona odpowiadała pieszczotą na pieszczotę.

Oboje owładnęło gorączkowe pożądanie. Garrett całował C. J. gwałtownie, na oślep, jakby bał się, że go odepchnie.

Nie odepchnęła. Dygotała cała rozpalona, wyobrażając sobie, że stopili się w jedno ciało. Nie umiała stłumić cichutkiego jęku, kiedy drżącymi palcami zagarnął jej pośladki i, poruszając biodrami, drażnił ją swoją męskością. Nie ukrywał podniecenia, patrzył jej prosto w oczy z radosnym uśmiechem.

Właśnie to w nim uwielbiała. Garrett nie wstydził się swoich odczuć, traktował je jak rzecz naturalną, a nie jak dopust boży. Czy mogła marzyć o cudowniejszym kochanku?

Kiedy cofnął się o krok i pozwolił jej odetchnąć, oboje wybuchnęli śmiechem.

- Większość kobiet potraktowałaby to jak obietnicę - mruknął. - Mam nadzieję, że nie okażesz się wyjątkiem...

Skinęła głową, marszcząc czoło. Kubeł zimnej wody, pomyślała ze smutkiem. Żeby mi się nie przewróciło w głowie...

- To nie jest tak, jak ci się wydaje... - Garrett natychmiast zrozumiał, że palnął głupstwo, ale słowo „przepraszam” byłoby nie na miejscu. - Wiem, co słyszałaś o mnie i o kobietach w moim życiu. C. J., nie mam zamiaru kłamać ani udawać świętoszka. Zapewniam cię jednak, że wbrew temu, co wypisują gazety, prowadzę się całkiem przyzwoicie. Zresztą... w dzisiejszych czasach to nie tyle sprawa przyzwoitości, ile życia i śmierci. A więc po pierwsze: nie jestem samobójcą... a po drugie, to nie w moim stylu. Zawsze tak było. Możesz

mi wierzyć lub nie... ale jeśli idę z kimś do łóżka, to musi coś znaczyć. Seks można mieć bez wysiłku. Na uczucie trzeba zapracować.

- Ja... chciałam ci powiedzieć, że... Myślę, że to właściwa pora, Garrett, żeby...
Widzisz, ja jeszcze nigdy... No wiesz.

Cisza, która zapadła, wydawała się nie mieć końca. C. J. wyłamywała nerwowo palce, aż w końcu spojrzała na Garretta spod przymrużonych powiek.

Nigdy nie widziała takiego dziwnego wyrazu twarzy... Boże, co ona zrobiła! Komu potrzebne było to wyznanie... Co go obchodzi jej cnota! Mogła się nie przyznać, wymyślić coś... W końcu to nie trepanacja czaszki... Jeden, dwa jęki i po bólu, o czym tu mówić! Swoją drogą... ciekawe, czy rzeczywiście to takie proste.

- Nigdy? - zapytał osłupiały.

- Nie. To nie znaczy, że nie chciałam... Okazji też nie brakowało, ale jakoś... -
wzruszyła bezradnie ramionami. Jak wytłumaczyć coś, czego sama nie rozumiała?

- Nie musiałś mi wcale o tym mówić... - pocałował ją w czubek nosa - ale dziękuję.
To będzie wyjątkowa uczta, zobaczysz... Pierwszy raz powinien być wyjątkowy.

Uważaj, szeptała w duchu, stojąc w otwartych drzwiach i odprowadzając Garretta wzrokiem do bramy. Uważaj, C. J., bo zakochasz się w tym facecie i nawet nie będziesz wiedziała, jak to się stało. A umowa tego nie przewiduje...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Garrett nie mógł zasnąć.

Mrucząc coś pod nosem, odrzucił kołdrę, usiadł na brzegu łóżka, a potem tępy, osowiałym wzrokiem wpatrywał się w kwieciste wzory na dywanie.

Nie tak miały potoczyć się sprawy... Żałował, że dał się wciągnąć w dziwną intrygę Bertie, że opuścił Miami, że... Niech to wszyscy diabli, sam już nie wiedział, czego naprawdę chciał, a czego żałował.

Chciał mieć C. J. Tak mu się wydawało do dzisiejszego wieczora. Do chwili kiedy okazało się, że może ją mieć i to bez najmniejszego wysiłku. Gdyby darował sobie skrupuły, kochałby się z nią teraz, do białego rana, a nie siedział w ciemnym pokoju - wściekły, zakłopotany, gotowy odwołać całą tę hecę.

Okazało się niechcący, że nie znosi obłudy! Kobiety, z którymi zwykł się zadawać, były przebiegłe, sprytne, każda miała dokładnie wyznaczony cel i wiedziała, jak go osiągnąć. Znały na pamięć wszystkie ruchy na szachownicy. Tak jak on. I tak jak on nie miały złudzeń. Dawały z siebie tyle, ile brały. Zależało im na jego nazwisku, pieniądzach, władzy... Tylko nie na nim samym. I bardzo dobrze. Uważał to za idealny układ.

Z C. J. od początku było inaczej. Stare reguły gry na nic by się nie zdały, a nowe...? On nawet nie wiedział, o co oboje grają.

Powinienem u niej zostać, pomyślał. Namawiała go. W końcu... co jak co, ale po tygodniu spędzonym w Paradise mógł o C. J. powiedzieć jedno: dziewczyna miała dobrze poukładane w głowie i nie brakowało jej odwagi. Do licha, to ona rządziła wyspą i robiła to, co chciała!

Dlaczego nie dał się namówić? Pragnął C. J. tak bardzo, że na samą myśl o tym, co mógłby... w tej chwili... Jego ciało reagowało na każde wspomnienie jej pieszczot. Chciało mu się po prostu wyć!

Dlatego, że chodziło nie tylko o seks. Po raz pierwszy w życiu liczyła się cała reszta ważnych i drobnych spraw - jej towarzystwo, rozmowy, żarty. Jakaś dobra aura, która sprawiała, że nawet kiedy milczeli, nie patrząc na siebie, czuli swoją przyjazną bliskość. Zaledwie po tygodniu znajomości umieli porozumiewać się bez słów - jak starzy przyjaciele albo kochankowie...

Jeszcze z innego powodu nie został u C. J. Panicznie się bał. Nie chodziło mu o małżeństwo. Dał słowo i gotów jest tego słowa dotrzymać. Ale niech go piekło pochłonie... jeśli zakocha się naprawdę! Tego nie było w umowie.

Następnego ranka wszyscy domownicy Paradise spotkali się na śniadaniu.

Dopisali też goście: doktor Willerson oraz wyglądający na prawnika wysoki mężczyzna o końskiej twarzy. Bertie czyniła honory pani domu z wyjątkową radością. Ubrana w złoto - purpurową suknię oraz identyczny turban, wyglądała jak perska królowa.

C. J. usiadła jak najdalej od ciotki. Ujrawszy w drzwiach Garretta, mimowolnie spuściła wzrok i zarumieniła się po uszy. Spod przymrużonych powiek patrzyła, jak podchodzi do bufetu i z uśmiechem na ustach, jak gdyby czuł, że jest obserwowany, nakłada na talerz jajecznicę, wędlinę oraz owoce. Bez chwili wahania okrążył potem cały stół, żeby usiąść przy niej.

- Dzień dobry, panno Carruthers. Jak się pani miewa w tak piękny poranek? - spytał teatralnym szeptem.

- Świetnie. A pan?

- Wyśmienicie. Czy może mi pani podać śmietankę? - Sięgając po dzbanuszek, przykrył dłonią jej palce i czekał, rozbawiony, aż spojrzy mu w oczy. - Wyglądasz wspaniale. Do twarzy ci w różowym...

- Nie mam na sobie niczego... w tym kolorze - wyjąkała. Róż jej policzków stał się jeszcze bardziej intensywny. Spuściła głowę, z trudem zachowując spokój. - Głupio mi po wczorajszym... - powiedziała najciszej, jak potrafiła.

- Dlaczego? Całowaliśmy się i to wszystko.

- Cieszę się... to znaczy... chciałam ci podziękować za ostrzeżenie. Miałeś oczywiście rację.

- Tłumacząc, że co się odwlecze, to nie uciecze? O tej racji mówisz? Mam nadzieję, że... że nie przekonałem cię do celibatu? Nigdy bym sobie tego nie wybaczył...

- Nie... Nie przekonałeś.

- I dzięki Bogu! Kamień spadł mi z serca. Mamy jakąś szansę na spacer przed południem?

Jej twarz wyrażała tak bezgraniczne zdziwienie, że Garrett wybuchnął śmiechem.

- Na spacer, C. J. , po prostu na spacer. Rozluźnij się, dobrze? Przysięgam, że nie rzucę się na ciebie z nienacka ani nie będę straszył. Pójdziemy sobie wolniutko, tak wolno, jak tylko zechcesz.

Nie pocieszył jej. Nie chciała spacerować z nim „wolniutko”. Marzyła, żeby wreszcie się to stało! Chciała iść z tym mężczyzną do łóżka... zanim do końca zwariuje.

- Wolałabym się umówić po południu - mruknęła.

- Spróbuję się wyrwać koło drugiej.

- Hej, kochani, co wy tam szepczecie? - zawołała z uśmiechem Bertie. - Jameison, pan uwodzi C. J. na moich oczach!

- Nie zaniedbuję żadnej okazji - zaśmiał się Garrett.

- Bardzo dobrze. Ma pan moje błogosławieństwo. Przydałoby się dziewczynie trochę naturalnych kolorów...

- Bertie! - C. J. zerwała się z krzesła. - Może zawiozę cię do gabinetu? Zaprosisz tam doktora Willersona oraz pana Richardsona i knujcie sobie do woli. Ciekawa jestem, swoją drogą, nad czym dzisiaj będziecie pracować. Kolejna zmiana testamentu, co?

- Nie twój interes! Przestań być lepiej taką świętoszką! Pomyśleć tylko, że w jej żyłach płynie krew Parsonsów... Nie do wiary. Ale nic to, dojrzejesz, dojrzejesz, moje dziecko... - Bertie wybuchnęła hałaśliwym śmiechem. - Nie wiem, czy ci o tym mówiłam... W naszej rodzinie kobiety późno dojrzewają, ale kiedy już poczują wolę bożą, to tylko iskry lecą, tak, tak! A teraz zabierajcie się, kochani, muszę skończyć pogawędkę z doktorem i mecenasem.

C. J. próbowała skupić się na pracy, żeby zagłuszyć natrętne myśli. Niestety. Kiedy zorientowała się, że czyta wciąż ten sam akapit maszynopisu, że łzami w oczach pobiegła nad zatokę. Na horyzoncie zbierały się ciemne burzowe chmury. Zaczęła łkać ze złości.

W rajy nie powinno być żadnych cholernych sztormów. Raj... to raj. Szczęśliwe miejsce, w którym nic się nie zmienia, ludzie nigdy nie chorują, nigdy... nie umierają.

Niech to szlag, Bertie. Jak długo będziesz trzymała to w tajemnicy? Dlaczego mi po prostu nie powiesz!

Płacz nic nie pomoże. Włożyła ręce w kieszenie i zaczęła iść przed siebie, z zamglonym wzrokiem, powtarzając sobie w kółko, niczym litanię, że wszystko się ułoży... Wszystko będzie dobrze, Bertie.

Garrett odnalazł C. J. sześć kilometrów od domu, w miejscu, gdzie urywała się szeroka plaża, a zaczynały porośnięte namorzynami tropikalne bagna.

Siedziała z podkurczonymi nogami, brodą opartą na skrzyżowanych ramionach, wpatrzona w horyzont. Nie słyszała jego kroków, dopiero ruchomy cień na piasku, który dostrzegła kątem oka, wyrwał ją z odrętwienia. Odwróciła zapłakaną twarz. Garrett uklęknął - raczej opadł bezwiednie na kolana - ale słowa uwięzły mu w gardle.

- C. J. ?

- To ty... Cześć. - Otarła dłonią mokre policzki. Ja... Szukałeś mnie?

- Umówiliśmy się, że pójdziemy na spacer. Dzisiaj po południu.

- Ach, tak... - uśmiechnęła się do niego niepewnie. - Przepraszam, zupełnie zapomniałam... Strasznie cię przepraszam...

- Co się stało, C. J. ? Ty płaczesz...

- Nie - pociągnęła nosem. - Szczypią mnie oczy... Garrett przygarnął ją do siebie i nie mówiąc już ani słowa, zaczął łagodnie kołysać.

- Jestem przerażona - powiedziała stłumionym szeptem. - Bertie... Chodzi o jej serce.

- Źle z nią? - Garrett znieruchomiał.

- Niestety. Zmusiłam w końcu tego cholernego Willersona do gadania. Przyznał, że od roku zajmuje się sercem Bertie. I że... jej stan się pogarsza. Jest poważnie zaniepokojony.

- Dziwię się, że ci o tym powiedział - Garrett westchnął ciężko i pogłaskał ją po włosach.

- Opierał się, kiedy go grzecznie prosiłam - mruknęła - więc... musiałam doktorkowi pogrozić. Zmiękł jak wosk.

- Wiesz co? - rzekł ze zdumieniem. - Chyba sama nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś do Bertie podobna.

- Mam nadzieję... - odpowiedziała po chwili. - Czuję, że przyda mi się to podobieństwo. Już wkrótce.

Garrett zmarszczył czoło, ale nic nie odpowiedział. Spędził pół dnia przy telefonie, konferując z bratem Bertie, jego synami oraz wnukami, i dowiedział się jednego: Bertie jest szalona, nie ma bladego pojęcia o prowadzeniu interesów, a C. J. w ogóle się nie liczy.

Wszyscy panowie wpadli w osłupienie, kiedy przypomniał im delikatnie, że to C. J. odziedziczy pięćdziesiąt jeden procent udziałów po śmierci Bertie. Zasugerował im - jeszcze delikatniej - żeby zaprosili ją na najbliższe posiedzenie zarządu. Zapadło przykre milczenie, po czym jeden z bratanków Bertie roześmiał się i wyraził wątpliwość, „czy panienkę interesują takie sprawy”.

- Dlatego zatrudniła cię w naszej firmie, prawda?

- Myślę... - starał się, żeby jego głos zabrzmiał naturalnie - że tak... to mogło wpłynąć na jej decyzje.

- A ja?

- Ty? Wyprostowała się. Z łagodnym uśmiechem, patrząc Garrettowi prosto w oczy, przeczesła palcami grzywkę.

- Zastanawiam się po prostu, jaką w tym wszystkim wyznaczyła mi rolę.

Ostrożnie, stary, pomyślał Garrett. Zachowaj ostrożność. Uśmiechał się do C. J. , usuwając z jej twarzy ziarenka piasku.

- Sam się nad tym zastanawiałem... bo, widzisz, Parsons Industrial nie jest czymś, co budzi moje wyjątkowe zainteresowanie...

- Dobry w tym jesteś, co? Ciekawe, czy to umiejętność wrodzona.

- Dobry w czym?

- W tym. - Schyliła głowę i musnęła wargami wnętrze jego dłoni. - Sprawiasz, że czuję się... dość niezwykle. Nie miałam pojęcia, że można tak czuć.

- To ty jesteś niezwykła - powiedział z drżeniem w głosie.

Obrzuciła Garretta zamglonym, smutnym spojrzeniem i kiedy znów się uśmiechnęła, nie był pewien, czy to nie było przywidzenie... Jeszcze raz dotknęła wargami jego dłoni, a potem, bez uprzedzenia, zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała w usta.

Jęknął cicho, objął ją mocno ramionami, ale C. J. odepchnęła go lekko i pokręciła głową.

- Jeszcze nie, Garretcie - szepnęła. - Niedługo... ale potrzebuję trochę czasu. Muszę oswoić się z tą myślą, rozumiesz?

- Posłuchaj, C. J. - powiedział cicho, przytrzymując ją za rękę. - Naprawdę jesteś dla mnie kimś... wyjątkowym. Czuję przez skórę, że nie przestajesz myśleć o mojej... nazwijmy to: reputacji. Wcale się nie dziwię, ale chcę, żebyś wiedziała, że od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię w salonie Bertie, byłem pewien, że... cholera, jak trudno znaleźć właściwe słowa... że albo nic między nami nie będzie, albo wydarzy się coś... nadzwyczajnego. Mówiłem ci w nocy, że łatwe podboje nie są w moim stylu. C. J. , masz tyle czasu, ile tylko zechcesz.

- Dziękuję - szepnęła płaczącym głosem. Poderwała się gwałtownie, zatrzymując Garretta gestem ręki. - Nie, nie idź za mną. Proszę... Chcę wrócić sama. Muszę spokojnie pomyśleć...

Dosyć. Nie będzie brnął dalej w tę paranoję! Stojąc pod prysznicem, wykrzyczał to na głos, jakby dla dodania sobie odwagi.

Jutro ustali z Bertie warunki swojego angażu w Parsons Industrial - i koniec... Kropka! C. J. nie ma z tym nic wspólnego.

Przez cały ubiegły tydzień próbował przekonać się do pomysłu Bertie. Tłumaczył sobie jak dziecku, że C. J. będzie z nim szczęśliwa, że najmądrzejszą rzeczą na świecie byłoby zaprowadzić ją do ołtarza...

Ale Bertie miała rację: on jest człowiekiem honoru. A ludzie honoru nie igrają z uczuciami kobiet. C. J. zasłużyła na coś więcej niż kontraktowe małżeństwo. Znajdzie kogoś, kto będzie ją kochał - w taki sposób, na jaki zasługuje. A on... ? Cóż... jakoś to przeżyje. Tak jak przeżywał do tej pory. Złego diabli nie wezmą.

Wyszedł z kabiny jeszcze bardziej spięty, przekonany, że czeka go kolejna bezsenna noc. Owinął się wokół talii wielkim, niebieskim ręcznikiem i wrócił do sypialni.

Odetchnął z ulgą. Pokój tonął w mroku i ciszy, w powietrzu unosił się orzeźwiający morski zapach. Zanim doszedł do łóżka, zorientował się, że nie jest sam. Może wiatr poruszył zasłonę... Uchwycił się tej myśli jak tonący brzytwy, spojrzął w stronę okna... ale to nie był wiatr.

- Na miłość boską... Co ty tu...? - Głupie pytanie, pomyślał oszołomiony. - O rany, C. J. Fatalny pomysł, kochanie. Bardzo niedobry...

Ku jego zdumieniu, C. J. uśmiechnęła się. Takim błogim, kuszącym uśmiechem, jakiego nigdy dotąd nie widział na jej twarzy. W jedwabnym przezroczystym peniuarze wydała się Garrettowi całkiem naga. Zaczęła zbliżać się do niego powoli, bez cienia wahania w oczach... Skamieniał. Serce tłukło się w jego piersi jak oszalałe i nie był nawet pewien, czy bardziej ze strachu, czy z podniecenia. Wiedział, że jeśli nie zapanuje nad sytuacją w tej chwili, zrobi coś, czego może potem gorzko żałować.

Była tuż, tuż. Poczul jej zapach, słodki jak woń kwiatów, orzeźwiający, ale zaostrozony aromatem perfum. Wyobraził sobie, że dotyka palcami aksamitnej skóry... Głęboko w podświadomości zdawał sobie sprawę, że jeżeli dotknie jej naprawdę, nie będzie odwrotu.

Kiedy spojrzął w oczy dziewczyny, zrozumiał, że na odwrót już jest za późno... Rozpaczliwe deklaracje pod prysznicem na nic się nie zdały. Nie wyjedzie jutro rano, tak jak sobie obiecywał, i lepiej, żeby w ogóle przestał się oszukiwać...

Jedyną prawdą i jedyną rzeczywistością była teraz ona - dziewczyna o jedwabistej skórze, fiołkowych oczach, z uśmiechem zapraszającym do miłości. Wyciągnęła ręce i opuszkami palców dotknęła jego torsu. Na ułamek sekundy zawahała się.

Garrett nie miał siły walczyć. Przyciągnął ją do siebie i objął. Dopiero wtedy, tuląc się do jego ciepłych, mocnych ramion, straciła wszelką niepewność. Czowała, że ten mężczyzna jej pożąda, a jego mięśnie drżą napięte do granic wytrzymałości.

- Chcę się z tobą kochać. Teraz. Nie odmawiaj mi tego, Garretcie.

Wstrzymał oddech. Ujął w ręce jej głowę, potem wsunął palce w jedwabiste włosy, pociągnął lekko do tyłu, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy.

- Jesteś tego pewna?

- Pocałuj mnie - szepnęła. Nie chciała z nim dyskutować. Nareszcie przestała myśleć i błagała go o to samo.

Zaczął ją całować. Gwałtownie i nieporadnie, jakby po raz pierwszy... albo ostatni w życiu. C. J. zatracala się w cudownej świadomości, że tej lawiny nic nie powstrzyma. Była podniecona jego rosnącą pasją i własną uległością.

Garrett wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, nie przestając całować. Zdjął z niej peniuar powoli, ostrożnie, jakby chciał rozkoszować się tą chwilą jak najdłużej. Gładził delikatnie ciało dziewczyny, pieścił je ustami, coraz czulej, coraz mniej zachłannie.

Jego żar przenikał ją do szpiku kości. Trzęsła się cała, nie mogąc tego opanować, błędząc palcami po jego plecach, poruszając się pod nim z niecierpliwością, aż Garrett poczuł, że nie jest w stanie zapanować nad ogarniającym go pożądaniem, że C. J. doprowadza go do szaleństwa.

- Kochanie, nie masz pojęcia... Uniosła głowę i wygięła się tak, że koniuszki piersi dotknęły ust Garretta. Ssał najpierw jedną sutkę, potem drugą, aż dziewczyna zaczęła drzeć, bierna, niezdolna do wykonania żadnego skoordynowanego ruchu.

- Kochanie, nie chcę się spieszyć, ale...

- Ale ja chcę, żebyś się pospieszył! Nie wytrzymam tego... Błagam...

To była ostatnia próba myślenia. Garrett, nie odrywając wzroku od twarzy C. J. , wsunął palce między jej zaciśnięte uda. Zaczął pieścić ją w taki sposób, że zamarła na moment, a potem, trzymając kurczowo jego rękę, oczami błagała o litość.

- Garrett!

- Cicho, malutka... Zamknij oczy. Ciało o napiętej skórze, pod którą grały mięśnie i mięśnie, przykryło jej drobną, kruchą postać. Kiedy odnalazły się ich oczy, zapadła cisza jak przed burzą. Pragnął wejść w nią dużo wolniej, delikatniej, ale zbyt długo czekali na tę chwilę...

Nogami oplotła jego biodra, z głośnym westchnieniem ulgi, z uczuciem rozkoszy. Poruszał się w niej wolno, rytmicznie, rozkoszując się pierwszym nasyceniem. C. J. uśmiechała się nieprzytomnie, jakby przez sen, kołysząc się w nadawanym przez Garretta rytmie.

Pragnął, żeby to trwało jak najdłużej, żeby nigdy nie zapomniała ich pierwszej nocy. Kiedy jednak zwolnił tempo, a potem całkiem znieruchomiał, C. J. uniosła biodra i z zamkniętymi oczami zaczęła pędzić na oślep...

- Garrett, proszę cię...! - Oddychała szybko i niespokojnie, a potem nagle pociemniało jej w oczach.

Miała wrażenie, że jakaś nieludzka siła unosi ją w powietrze. - Garrett, kochany...

Poczuł dreszcz, który przeszył jej ciało. Nie mógł w to uwierzyć. Miał nadzieję, że nie sprawi jej wielkiego bólu, ale nie spodziewał się, że ona go wyprzedzi.... Roześmiał się cicho.

C.J wyprężyła się i oplotła Garretta gorącymi udami. Z jego ust wydarł się cichy jęk. Opadł na nią bez tchu, w wyciągnięte ramiona, bezbronny i uspokojony.

Nie umieliby powiedzieć, jak długo leżeli bez ruchu, wśród zmiętych prześcieradeł i poduszek, zbyt zmęczeni, żeby ze sobą rozmawiać.

Nagle Garrett wsparł się na łokciach, objął dłońmi twarz dziewczyny i powoli, z ogromną tkliwością, począł całować jej oczy, brwi, policzki...

- Wyjdź za mnie - szepnęła jej prosto do ucha.

- Słucham...?

- Słuchasz? - roześmiał się i ugryzł C. J. w czubek ucha. - Złożyłem właśnie propozycję, jak przystało na dzentelmena... ale zdaje się, że wcale mnie nie słuchasz.

- Uhm - pieściła językiem jego policzek.

- Wyjdź za mnie, C. J. Zostań moją żoną, moją partnerką. Bądź matką moich dzieci, pierz moje skarpetki...

- Pierz je sobie sam - odparowała ze śmiechem. - Myślałam, że nigdy się nie zdobędziesz...

- Czy w taki sposób Carruthersowie wypowiadają sakramentalne „tak”?

- Uhm.

- C. J. ?

- Uhm?

- Igrasz z ogniem, kochanie. Na twoim miejscu nie robiłbym tego, chyba że masz świętą cierpliwość, upór, pogodę ducha...

- Uhm.

- C. J. .. C. J. , ja nie sądzę, żeby... Och, do diabła z tym! - Przewrócił ją na plecy i chwycił za nadgarstki. - Zostaniesz moją żoną czy nie?

- Czy będę musiała robić... te rzeczy, jeśli powiem „tak”?

- Bezwzględnie. Może nawet dwa albo trzy razy dziennie.

- W takim razie nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabym odmówić.

Dużo później, choć nie wiedziała, czy minęła godzina, czy kilka godzin, C. J. uniosła głowę i poczęła wpatrywać się w twarz Garretta.

Był najcudowniejszym kochankiem. Czowała, że są dla siebie stworzeni, ale na myśl o tych wszystkich kobietach, z którymi być może tak samo...

Wszystko będzie dobrze, pomyślała, dziwnie uspokojona. Kochała go naprawdę. A reszta... jakoś się ułoży. Kto wie, może z czasem on też ją pokocha. I może nigdy się nie dowie...

Kochali się tej nocy gwałtownie, rozpaczliwie, budząc się wzajemnie raz po raz do przeżywania i dawania rozkoszy.

- Kocham cię - szeptała, a Garrett uśmiechał się, pieczętując pocałunkiem każde jej słowo.

Nastał ranek, a piękny sen trwał dalej.

Tylko na ułamek sekundy, kiedy Garrett obudził się w pustym łóżku, zamarło mu serce. Już zamykał oczy, żeby zasnąć z powrotem... Uff, co za ulga. O mało nie krzyknął z radości. Szum wody w łazience wydał mu się najpiękniejszą muzyką świata. Przytulił twarz do prześcieradła, które pachniało C. J. ...

Kochali się zaledwie godzinę temu, kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca padały na łóżko..

- Wciąż jestem głodny... - mruknął jej do ucha, nie wiedząc, czy śpi naprawdę, czy tylko zamknęła oczy. - Powiedz, że ty też...

Ukłękła nad nim bez słowa i uśmiechnęła się. Wstrzymał oddech, głodnym wzrokiem błędząc od jednej piersi do drugiej. Wydały mu się teraz pełniejsze i bardziej napięte. Dotknął palcami brązowych koniuszków.

- Jesteś piękna... - szeptał, a jego ciało kusiło na nowo, błagało o wzajemność.

Pochyliła się nad Garrettem i kompletnie zatraciła w namiętnej pieszczocie. Zapomniała o bierności i lękach. Całowała każdy skrawek jego ciała, czując, jak pulsuje z rozkoszy. Kiedy Garrett nie mógł dłużej czekać, objęła nogami jego biodra i zaczęła poruszać się delikatnie, powoli, jakby czekając na zaproszenie. Wreszcie Garrett opadł na plecy z jękiem, pociągnął ją na siebie z całej siły i zanurzył się w niej do końca. Pędzili w szalonym tempie, prześcigając się wzajemnie, zostawiając za sobą wszystko, co nie było ich jednym rozpalonym ciałem. Naraz zwolnili, przylgnęli do siebie mocniej... To, na co czekali, nadeszło. Przez ich ciała przebiegł wspólny prąd i wspólnie dobili do brzegu. Rozpamiętując tę scenę, Garret poczuł fizyczny ból w lędźwiach. Zerwał się z łóżka i pobiegł do łazienki.

- Dzień dobry... - C. J. odezwała się pierwsza.

- Niewiarygodnie dobry! - Garrett wszedł do kabiny, nie czekając na zaproszenie. - Pomyślałem, że moglibyśmy zaoszczędzić trochę wody.

Namydlił swój tors, ramiona, potem resztę ciała, ani na chwilę nie odrywając wzroku od C. J. Jej ciało wzbudzało w nim nie tylko pożądanie, ale dławiący wręcz zachwyty.

Mlecznobiały brzuch, piersi stworzone dla jego dłoni, z koniuszkami proszącymi o jego usta... Nawet jej nie dotknął, a już był podniecony do bólu. A ona miała takie wilgotne drżące usta i rozognione spojrzenie... Tak, po raz pierwszy w życiu tracił rozum.

- Myślę, że stać nas jeszcze dzisiaj... nawet teraz... na jakiś dobry pomysł.

- Uhm...

- Chyba go już mamy... Był mokry od potu i nie mógł wykrztusić ani słowa.

Zaczął całować jej piersi. Oparła się o ścianę kabiny i wyprężyła. Nie zaprotestowała, kiedy wsunął palce do ciepłego, wilgotnego gniazdka. Zamknęła oczy, a potem odpowiedziała pieszczotą na pieszczotę.

Garrett był u kresu wytrzymałości. Oddychał głęboko i pospiesznie, ale to niewiele pomagało... Przytrzymał jej rękę, patrząc w oczy dziewczyny błędnym, nieobecnym wzrokiem.

- Nie mam przy sobie niczego, C. J. , więc albo przeniesiemy się do sypialni, albo - uśmiechnął się bezradnie - grożą nam pewne konsekwencje...

- Uwielbiam twórczy niepokój - odwzajemniła się uśmiechem. - Zresztą nie musimy się tak bardzo przejmować, co? Chyba że zmieniłeś zdanie i nie chcesz się już ze mną ożenić.

- Nie zmieniłem zdania. Ale dzieci... to poważna decyzja, C. J. Nie musi nam się to przydarzyć tak od razu, ale...

- Więc kochaj mnie i przestań się martwić. - C. J. stanęła na palcach i pocałowała go w usta. - Kochaj mnie, Garreecie.

Uklęknął przed nią bez słowa, rękami obejmując talię. Całował jej nogi. Potem poczuła szorstkie policzki między udami i usta pieszczące ją coraz głębiej i żarliwiej.

Krew napłynęła jej do twarzy. Te pocałunki parzyły, przyprawiały o zawrót głowy, łzy, histerię!

- Och, Garreecie... - to, co czuła, przypominało eksplozję.

Zaśmiał się triumfująco i wstał. Jedną ręką oparł o ścianę, a drugą gładził jej biodro, aż sama uniosła nogę... Wbił się w nią jednym silnym pchnięciem w akompaniamencie jęku. Garnęła się do niego, żeby czuć wszystko intensywniej. Garrett rękoma objął jej pośladki, przyciągnął ją ku sobie i rozpoczął odwieczny taniec miłości. Kiedy to, na co czekali, nadeszło, C. J. błagała los w uniesieniu, żeby chwila ta trwała wiecznie.

- Garrett, czy my jesteśmy... normalni? - zapytała C. J. , kiedy otuleni ręcznikami wrócili do łóżka. - Czytałam w jakimś magazynie, że norma krajowa to jeden z raz w tygodniu...

- Nie przejmuj się, C. J. , mam nadzieję, że nigdy, ale to nigdy, nawet po siedemdziesiątce, nie upadniemy tak nisko.

- Uspokoileś mnie - zachichotała. - Czy wiesz, że spóźnimy się na śniadanie?

- Do diabła ze śniadaniem!

- W takim razie zostajemy w łóżku do obiadu.

- C. J. ... - Garrett nagle spowaźniał - Chciałbym, żebyś była ze mną szczęśliwa. Ja... - omal nie wymknęło mu się słowo „kocham”.

Nie. To nie jest prawda. Żadnych kłamstw. Nie będzie jej nigdy okłamywał.

- Jestem szczęśliwa - szepnęła cicho. - Ubierzmy się jednak, dobrze? Chętnie zostałabym z tobą w łóżku, ale naprawdę muszę dziś popracować.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy zeszli wreszcie na śniadanie, C. J. nie mogła się oprzeć wrażeniu, że cała służba wie dokładnie, co ona i Garrett robili pół godziny temu.

Całe szczęście, pomyślała, że nie ma tu Bertie. Wystarczyłoby jej jedno spojrzenie...

- Tak chyba nie powinno być, panienko - powiedziała z wyrzutem kucharka. - Mam na myśli domaganie się śniadania o tej porze. Można by poczekać godzinę i przyjść na lunch.

- Widzisz - szepnął Garrett - mówiłem ci, żeby... au! - Łokieć C. J. zderzył się z jego zębem.

- Przepraszam - C. J. uśmiechnęła się do kucharki. - Mieliśmy... to znaczy...

- Musieliśmy załatwić kilka spraw - wtrącił Garrett, nie mrugnawszy nawet okiem.

- Wiadomo jakich - mruknęła kobieta. - Jaśnie pani czeka na panienkę w salonie, z jakimś towarzystwem, które chce panience przedstawić. Ale zanim pani tam pójdzie, doradzałabym zrobić coś z tym śladem na szyi. A pan - zniżyła głos - powinien wyglądać jak biznesmen, a nie jak kocur, który wrócił z dachu. Jeśli się jasno wyrażam.

- Jaśniej nie można.

C. J. , pąsowa na twarzy, zapięła bluzkę pod samą szyję.

- W tym domu nic się przed nikim nie ukryje - syknęła, a potem zwróciła się do kucharki: - Czasami myślę, że wiesz o nas więcej niż my sami o sobie.

- Ano pewnie... - odparła zadziornie i odwróciła się do Garretta. - Znam tę dziewczynę prawie od kołyski, nawet pomagałam ją wychować. Dlatego powiem panu prosto z mostu, że ten, co by ją skrzywdził, w mig by tego pożałował. Gorzko!

- Rozumiem. - Garrett z niewyraźną miną cofał się do wyjścia.

- A kocurowi, który drze się za głośno i włóczy po nocach, można zrobić operację. - Odsunęła na bok podzielone na porcje mięso i ani na chwilę nie odrywając wzroku od Garretta wbiła w deskę ogromny kuchenny tasak. - Życzę miłego dnia - pożegnała oboje czarującym uśmiechem.

C. J. wybiegła za Garrettem na korytarz i zaniósła się głośnym śmiechem.

- O rany, w życiu nie widziałam takiej zielonej cery. Wyglądasz jak ufoludek!

- Cholera, nie ma się z czego śmiać. Taka baba z tasakiem, której marzą się „operacje”, powinna mieszkać w domu bez klamek!

- Nie przejmuj się, jeżeli nie wypróbowała tego tasaka na żadnym z facetów, z którymi swatała mnie Bertie przez tyle lat, możesz spać spokojnie. Chociaż... oczywiście... czułbyś się bezpieczniej, gdybym była szczęśliwa i nie musiała skarżyć się starej niani...

- Będę się starał, przysięgam, tylko nie tasakiem, na miłość boską...

Przed drzwiami do salonu oboje wygładzili włosy i ubrania. Tłumiąc nowy wybuch śmiechu, chrząknęli jak na komendę - i weszli.

Na kanapie siedział starszy dystyngowany mężczyzna oraz kobieta, która, na pierwszy rzut oka, mogła być jego córką. Zanim C. J. otworzyła usta, Garrett krzyknął, jakby zobaczył upiora.

- Co wy tu, do licha, robicie? C. J. widziała, jak oczy nieznajomego gwałtownie przygasły. Wydał jej się teraz dużo starszy.

- Zaprosiłam ich - stanowczym głosem powiedziała Bertie. - Twój ojciec dzwonił wczoraj, żeby zapytać, czy jeszcze tu jesteś. Przyznał się, że bawi wraz z żoną w Miami, więc z radością zaprosiłam ich na wyspę. C. J. , pozwól, że ci przedstawię ojca Garretta, Stafforda Jameisona, oraz jego żonę, Krystal. Moja cioteczna wnuczka, C. J. Carruthers.

C. J. zauważyła, że oczy Jameisona seniora mają ten sam kolor bursztynu, ale, o dziwo, nie dostrzegła w nich cienia gniewu. Krystal z bliska wcale nie wydawała się aż tak młoda, a już na pewno nie wyglądała na striptizerkę z Miami. Była piękna, elegancka i bardzo opanowana.

- Zdaję sobie sprawę, Garretcie, że ani pora po temu, ani miejsce - powiedział spokojnie jego ojciec - ale musimy w końcu porozmawiać. Wiem, że nie jesteś zadowolony z mojego małżeństwa z Krystal... o którym cię nie uprzedziłem, ale...

- Niezadowolony? A żeń się, z kim chcesz! Guzik mnie to wszystko obchodzi.

- Garrett! - C. J. nie wierzyła własnym uszom.

- Panno Carruthers, proszę się uspokoić - powiedziała Krystal z wymuszonym uśmiechem. - To zwykła wymiana poglądów. Nie pierwsza zresztą. Garrett i ja zgodziliśmy się kiedyś, że w niczym się nie zgadzamy. On uważa, że lecę na pieniądze Stafforda, a...

- A nie lecisz? - zapytał z furią Garrett.

- Nie - powiedziała Krystal spokojnie. - Nie potrzebuję ani jego pieniędzy, ani twoich. Żeby ci to udowodnić, podpisałam intercyzę, która gwarantuje tobie wszelkie prawa spadkowe. Jeżeli przeżyję Stafforda albo jeśli się rozwiedziemy, nie dostanę ani centa. To po pierwsze... - zamilkła na chwilę, wyraźnie poruszona. - Po drugie, nie mam zamiaru upiększać swojego życiorysu. Twoi detektywi opowiedzieli ci już o moim byłym mężu. O nim i o kilku innych facetach wolałabym zapomnieć... Opuściłam dom, kiedy skończyłam piętnaście lat i

odtąd radzę sobie sama... Bywało różnie, czasami naprawdę parszywie, ale... właściwie nie ma o czym mówić, znasz wiele takich historii. Popelniałam błędy. Mnóstwo. Wielu rzeczy żałuję, ale co z tego. Nie jestem aniołem, Garretcie, ale też nie... tym, czym myślisz. Kocham twojego ojca... z wzajemnością - podniosła dumnie głowę - i nie muszę za to nikogo przepraszać.

- Przyjąłem zaproszenie pani D'Allaird, bo miałem nadzieję, że pogodzisz się z moją decyzją. Skoro nie... - Staffordowi drżały wargi. - Nie mamy innego wyjścia: albo zaakceptujesz Krystal i będziesz ją traktował z należyтым szacunkiem, albo nie chcę cię widzieć w moim domu. - Spojrzał na żonę z bezgranicznym uwielbieniem. - Obiecałem ci, kochanie, że spróbuję, i spróbowałem. A teraz przestańmy zanudzać Bogu ducha winnych ludzi rodzinnymi dramataми. Dziękujemy za zaproszenie, pani D'Allaird. Gdyby mogła pani zawiadomić Jerome'a, że wyjeżdżamy...

- Ale nie sądzę... Może jednak... - ku ogromnemu zdumieniu C. J., Bertie była wyraźnie zmieszana.

- Cóż, przykro mi, że tak to wyszło. Doprawdy miałam nadzieję... - przeszła młodego Jameisona lodowatym wzrokiem.

- Państwo wybaczą - powiedział Garrett przez zaciśnięte zęby, nie racząc spojrzeć na ojca ani Krystal - ale wróć do swoich zajęć. - Odwrócił się na pięcie i zamaszystym krokiem opuścił pokój.

- Uparty szczeniak - warknęła Bertie.

- Wiele w tym mojej winy - powiedział Stafford z żalem w głosie. - Po śmierci jego matki rzeczywiście dość... przypadkowo dobieierałem sobie towarzystwo.

- Położył rękę na dłoni Krystal. - Teraz wszystko się zmieniło.

- Kiedy poznałam Stafforda, naprawdę tańczyłam w nocnym klubie. Wcale nie dziwię się Garrettowi, ale miałam nadzieję...

C. J. odprowadziła ich na przystań i pożegnała. Zaczęła szukać Garretta. Okazało się, że widział go Winthrop, jak w szortach i adidasach biegł w kierunku plaży. Wrócił późnym popołudniem i nie zajrzawszy ani do niej, ani do Bertie, zamknął się w swoim domu.

C. J. wytrzymała kilka godzin, próbując czytać, pracować, słuchać muzyki - byle tylko wyrzucić z pamięci rozwścieczoną twarz kochanka... W końcu poddała się. Wybiegła z domu, trzaskając drzwiami. Zapukała do drzwi Garretta kilka razy, coraz głośniej, zła i upokorzona. Już miała odejść, kiedy usłyszała gburowate „proszę!” Nacisnęła klamkę i weszła.

Garrett stał przy oknie, z rękami na biodrach, wpatrzony w zatokę... Zastanawiała się przez moment, czy nie podejść do niego na palcach i nie objąć...

- Jeżeli spodziewasz się przeprosin, to szkoda twojego czasu - burknął. - Ojciec nie miał prawa przyjeżdżać tutaj. W każdym razie nie z tą kobietą. Jeśli miał sprawę do mnie, powinien rozmawiać ze mną na osobności, a nie korzystać z pośrednictwa Bertie.

- Widzę, że nie doceniasz cioteczki - roześmiała się z wyraźną ulgą. - Założę się, że to jej robota. Zawsze lubiła wtykać nos w nie swoje sprawy... A ostatnio ma wyjątkowego hysia na punkcie łączenia rodzin. Pewnie miała nadzieję, że jeśli ich tu ściągnie, tobie nagle zmięknie serce... i wszyscy będą szczęśliwi. Swoją drogą, twój ojciec wygląda na zadowolonego...

- Na razie. Poczekać kilka miesięcy. Kiedy panienka wyczyści już jego konto, pewnego dnia staruszek obudzi się bez niej i bez najlepszego samochodu.

- Chyba się mylisz.

- Zawsze tak było.

- Ale tym razem może być inaczej.

- Zobaczysz. Takie są kobiety, C. J. Słodkie i czułe, dopóki nie połkniesz haczyka.

Wtedy dopiero...

- Przestań. Mówisz też o mnie?

- Nie - odpowiedział szorstkim, zdławionym głosem, unikając jej wzroku. - Nie o tobie.

- Ale nie jesteś tego wcale pewien. Różne myśli chodzą ci po głowie, prawda? W sprawie naszego małżeństwa także...

Przerażenie chwyciło go za gardło. Milczał długo, a kiedy wydobył z siebie pierwsze słowo, nie poznał własnego głosu.

- Zastanawiam się po prostu, czy to dobry pomysł... Nie jestem... - pokręcił bezradnie głową - dobrą partią. C. J. .. jeśli chcesz znać prawdę zasłużyłaś na kogoś o wiele lepszego.

- Dlaczego nie mogę sama zdecydować, co jest dla mnie dobre?

- Bo nie chcę, żebyś cierpiała. Wydaje ci się, że jesteś we mnie zakochana. Tym bardziej będzie bolało, jeśli...

- Ty się po prostu boisz. Boisz się we mnie zakochać. Zresztą nie chodzi o mnie... tylko o twój strach przed miłością. To przez ojca miłość kojarzy ci się z upokorzeniem, prawda? Z robieniem głupstw i robieniem z siebie głupca...

- Mniej więcej. Miłość jest złudzeniem. Fatamorganą. Mami cię, kusi tysiącem rozkoszy, spełnieniem wszystkich pragnień - i znika, kiedy wyciągasz po nią rękę. Szaleńcy potrafią spędzić całe życie na ściganiu tej ułud.

- Boisz się, że skończysz jak twój ojciec.

- Pudło, C. J.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

- Nie kocham cię, C. J. Czy teraz rozumiesz? Myślał, że zamieni się w słup soli, rozplącze albo od razu ucieknie. C. J. jednak uśmiechnęła się - tym swoim chłodnym, tajemniczym uśmiechem, od którego cierpła mu skóra.

- Do głowy by mi nie przyszło, że możesz mnie pokochać - powiedziała swobodnie, jak gdyby rozmawiali o ulubionym smaku lodów. - Kto tu mówił o miłości? Chodzi w końcu o umowę między poważnymi ludźmi: konkretną, przemyślaną punkt po punkcie i... przypieczętowaną podpisem.

- O czym ty mówisz...?

- Och, Garretcie, dajmy sobie już spokój! Ćwiczymy tę miłosną etiudę od tygodnia i oboje mamy jej po dziurki w nosie.

- Skąd wiesz?

- Jak to: skąd - mówiła coraz bardziej zniecierpliwionym głosem. - Sądzisz, że mogłabym nie wiedzieć o czymś, co się dzieje w tym domu i dotyczy Bertie? A jeśli ci chodzi o to, w jaki sposób... Domyślałam się, że coś knujecie. Przejrzałam akta i znalazłam kontrakt. Po prostu.

Garrett wyobraził sobie C. J. czytającą tę precyzyjną, szczegółową umowę, paragraf po paragrafie, tego handlowego kontraktu... Zbierało mu się na wymioty. Wszystko, co działo się między nimi - słowa, uśmiechy, powłóczyście spojrzenia, pieszczoty - to był cyrk! Zwykła farsa.

A on zaczął wierzyć...

- Ładnie - powiedział błazeńskim tonem. - Czy Bertie wie, że grzebiesz w jej papierach?

- Zabawne - C. J. roześmiała się - że ciebie to szokuje. Ale... owszem, tam, gdzie w grę wchodzi dobro Bertie, jestem zdolna do wszystkiego. Mogę nawet wyjść za ciebie za mąż.

Brawo. Cios między oczy.

- A więc te dwa tygodnie były stratą czasu.

- Zależy, co nazywasz stratą czasu. Miałam... być może mylne wrażenie, że dobrze się bawisz.

Następny cios. Równie celny. To cud, że spudłowała wtedy, strzelając z kuszy...

- Tak było. A ty? Nareszcie. C. J. oblała się pąsowym rumieńcem.

Zanim odwróciła głowę, dostrzegł grymas bólu na jej twarzy. Potem nabrała powietrza, jak gdyby szykowała się do następnego starcia.

- „Bawiłam się” nie jest właściwym słowem. Ale nie było to nawet w połowie tak przykre, jak mogłoby być... Dziękuję.

- Boże, jaka ty jesteś zimna...

- Kiedy muszę być, to jestem - usłyszał w jej głosie nieprzyjemny zgrzyt.

- I co teraz? - Poczł nagle zmęczenie i pustkę. Nic go już nie mogło zaskoczyć ani bardziej zabołć.

- A co ma być? Będziemy udawać, że się kochamy, weźmiemy ślub, a potem będziemy schodzić sobie z drogi. Możemy spisać jeszcze jeden kontrakt - nasz własny - w którym obiecuję, na przykład... że dalej będę z tobą spała, że będę rodzić dzieci i tak dalej.

W towarzystwie będziemy uchodzić za szczęśliwą parę... Mówiąc jednak poważnie: perspektywa małżeństwa z tobą wcale mnie nie zachwyca, ale tego chce Bertie. Ty też się zgodziłaś, więc doprowadzimy sprawę do końca.

- A jeżeli odmówię?

- Nie odmówisz. Dałaś Bertie słowo. A z tego, co mi się obilo o uszy, uważasz się za człowieka honoru.

- Gratuluję siły i celności ciosów.

- Robię, co muszę - odparła szorstko. - Bertie zastąpiła mi matkę, kiedy nikt inny mnie nie chciał. Stworzyła mi dom, wspaniałe dzieciństwo, kochała mnie... A teraz panicznie się boi, że zostawi mnie na pastwę losu... Ale to wszystko słyszałaś. Nie podpisałaśbyś kontraktu bez znajomości wszystkich szczegółów.

- Boże, dziecko - westchnął Garrett - przy tobie Krystal to niewinna harcerka. Naprawdę myślałem, że jesteś inna. A ty - zmienił głos na niski, teatralny szept - jesteś taka jak inne. Mówisz tylko to, co trzeba powiedzieć, żeby osiągnąć cel. Używasz wszelkich sztuczek, żeby facet uwierzył, że... - ugryzł się w język.

- Cholera, powinienem był wiedzieć, że nie ma innych kobiet.

- Garrett, ja... - trudno było po tym, co usłyszała, znaleźć właściwe słowa - ...ja ciebie nigdy nie okłamałam. Kiedy kochaliśmy się wczoraj... nie było w tym żadnych sztuczek. Ja... przyznaję, że pospieszyłam się trochę, ale tylko dlatego, że chciałam ci ułatwić sytuację. Ja... - odwróciła głowę - kiedy się pieściliśmy, nie wiedziałam, kiedy grasz, a kiedy sprawia ci to przyjemność. Pomyślałam, że jeśli przestanę o tym za wiele myśleć i sprowokuję cię... jeśli to się wreszcie stanie, będziemy mieli o jeden kłopot mniej.

Garrett zaklął pod nosem. Czy grał ostatniej nocy? Cholera, właśnie tej nocy przestał grać. Niczego nie udawał. Pragnął C. J. tak, jak tylko mężczyzna może pragnąć kobiety...

Kochał ją całym sobą, nie wątpiąc ani przez chwilę, że sprawia jej radość... Po raz pierwszy w życiu zatracił się w tym bez reszty.

- To zmienia postać rzeczy... - mruknął zdawkowo, zastanawiając się, co naprawdę chciał powiedzieć.

- Oznacza to, że przestaniesz udawać, iż czujesz do mnie coś, czego wcale nie czujesz - odpowiedziała matowym głosem. - No i oboje musimy przyznać, że... niezbyt sympatyczna z nas para. Ty zgodziłeś się mnie wykorzystać, a ja bez oporów przystałam na ten parszywy układ. Nie wiem... nie mam pojęcia, co nas do tego popycha, ale instynkt mi podpowiada, że lepiej o tym nie wiedzieć...

- Tak - jego głos zabrzmiał niespodziewanie miękko. - Tak... chyba masz rację.

- Myślę, że byłoby dobrze... - zmarszczyła czoło i nagle znieruchomiała.

Garrett podbiegł do okna i usłyszał jakiś krzyk w oddali, a potem charakterystyczny furkot śmigła helikoptera... I rozpaczliwe walenie do drzwi.

- Panienko C. J. ! - kucharka zanosila się płaczem. - To Bertie! Atak serca!

C. J. nie miała nawet czasu płakać.

Wszystko działo się jak w koszmarnym śnie. Podróż helikopterem do szpitala w Fort Myers, potem do Miami. Pamiętała tylko szarą twarz Winthropu oraz wszechobecnego Garretta, który wydawał polecenia, telefonował, rozmawiał z lekarzami... Zachowywał się jak generał podczas bitwy.

I to czekanie. Mijała godziną za godziną, a ona siedziała beczynn timer w poczekalni szpitala. Piła kawę, która nie miała smaku, odpowiadała monosylabami Winthropowi albo Garrettowi, nie rozumiejąc sensu ich słów. Zdrętwiała z przerażenia, myślała tylko o tym, że za chwilę wyjdzie jakiś lekarz i powie „przykro mi, ale...”

Kiedy wreszcie wyszedł jakiś lekarz i oświadczył, że najgorsze minęło, że stan Bertie jest dosyć dobry i rokuje wyzdrowienie - C. J. zapadła w sen.

Obudziła się pod miękkim, pachnącym kocem, nieświadoma, kiedy usnęła i dlaczego jest w hotelu... Usiadła z trudem na brzegu łóżka... Okazało się, że to nie hotel, tylko luksusowy apartament z widokiem na morze.

Zajrzała do kuchni. Gorąca kawa na stole, pokrojone w plasterki owoce, przenośny aparat telefoniczny z przyklejoną do niego kartką. „Rokowania lekarzy dobre. Jadę z Winthropem do szpitala. Niedługo wracamy. Czuj się jak u siebie w domu”. Pod spodem numer telefonu do szpitala, z nazwiskiem osoby, z którą trzeba się kontaktować.

Kobieta, z którą C. J. rozmawiała, okazała się nadzwyczajnie uprzejma. Odpowiedziała na wszystkie pytania i bardzo ją pocieszyła. Odradziła przyjazd do szpitala, bo

na oddziale reanimacji nie ma odwiedzin, ale obiecała, że w razie wyraźnej poprawy lub pogorszenia zadzwoni. C. J. krążyła po kuchni z filiżanką gorącej kawy, odprężona i w coraz lepszym nastroju. W końcu postanowiła skorzystać z zaproszenia Garretta i „poczuć się jak u siebie”. Wzięła gorący prysznic i wypła następną kawę.

Kiedy wróciła do kuchni, zobaczyła na stole kluczyki od samochodu. Rozejrzała się zdziwiona. Na kłamce wisiał krawat, a czarna marynarka, rzucona niedbale na krzesło, z pewnością należała do Garretta.

Zastała go w salonie - olbrzymim słonecznym pokoju, w którym wszystkie meble były białe. Siedział na skórzanej kanapie, rozparty wygodnie, z zamkniętymi oczami. Pomyślała, że śpi, ale uniósł powieki i uśmiechnął się do niej blado, jakby resztką sił.

- Jak się czujesz? - zapytał sennym głosem.

- W porządku. Chcesz kawy?

- Oj, tak... Wyglądał jak po szychcie w kopalni. Zapadnięte, nie ogolone policzki, włosy w nieładzie. Po raz pierwszy widziała go w zmiętej, nieświeżej koszuli. Zaczął rozpinąć guziki, powoli, jak gdyby zapadał w sen z otwartymi oczami.

- To twoje mieszkanie? - Podała mu filiżankę.

- Dzięki... - próbował zmusić usta do uśmiechu. - Tak, moje. Chciałaś zostać w przyszpitalnym hotelu, ale jakoś cię namówiłem, żebyś zgodziła się przenieść do mnie. Niczego nie pamiętasz?

- Nie...

- Spałaś jak kamień. Wyniosłem cię z samochodu i położyłem prosto do łóżka.

- Dziękuję, Garrett... za wszystko. Być może dzięki tobie Bertie przeżyła. Zupełnie straciłam głowę.

- Nie pleć, C. J. Niczego nie straciłaś, a ja robiłem, co mogłem. Nie ma o czym mówić... Wezmę teraz prysznic i spróbuję się przespać. Jestem wykończony. Potem pojedziemy do szpitala. Jeżeli stan Bertie nie pogorszy się gwałtownie, o trzeciej po południu pozwolą nam ją odwiedzić.

- Czy Winthrop jest przy niej?

- Tak, chciałem go tu przywieźć, ale odmówił.

- Powinam zadzwonić do Bertrama... i chłopców. Czy oni już wiedzą?

- Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli sama to zrobisz. C. J. , będziemy musieli porozmawiać o... naszych sprawach.

- Jeżeli o mnie chodzi, nic się nie zmieniło - powiedziała stanowczo. - W Parsons Industrial ty przejmujesz schedę po Emmecie. Nie wiem, jak ci się powiedzie, ale ja mam

wszelkie pełnomocnictwa. Dopóki Bertie jest chora, panuję nad całym tym cholernym interesem.

- Nie muszę ci mówić, że brat Bertie stanie na głowie, żeby cię przekonać...

- Wujek James do niczego mnie nie przekona... - powiedziała z niebywałym spokojem, który zdziwił ją samą. Zaczęła się zastanawiać, na jak długo wystarczy jej zimnej krwi, kiedy wujek James zacznie z nią dyskutować. - Mamy do dyspozycji armię prawników, gdyby zaczął się stawiać, ale nie sądzę... Najpierw przemówi mi do rozsądku, przy okazji wyrazi swoje współczucie i troskę, potem przyzna, że jest rozczarowany... Jeżeli nie zmiękne, spróbuje wmówić mi, że nie zdaję sobie sprawy z możliwych konsekwencji i tak dalej... I że narażam koncern na ogromne niebezpieczeństwo!

- Jeżeli i po tym nie zmięknie...?

- Wystawi do pojedynku swoją armię prawników. Spróbuje dowieść, że Bertie jest niepoczytalna i że o losach koncernu nie może decydować młoda, niedoświadczona dziewczyna - czyli ja...

- Coś mi mówi - powiedział dobitnie Garrett - że wujek James ogromnie się rozczaruje...

- Tak ... - Wahala się przez chwilę, ale podniosła głowę i spokojnym głosem powiedziała to, na co czekał Garrett: - Żeby spotęgować jego rozczarowanie, powinniśmy się jak najszybciej pobrać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Pobrać się? - Garrett wyprostował się i podkurczył nogi. - Chcesz to ciągnąć dalej?

Po tym, co się stało?

- Zwłaszcza po tym, co się stało. - C. J. podeszła do przeszklonej ściany z widokiem na ocean. - Jeśli Bertie chce, żebym wyszła za mąż przed jej śmiercią, niech tak będzie.

- Do licha... - Garrett odstawił z hałasem filiżankę. Podeszedł bezszelestnie do C. J. , zastanawiając się, co powiedzieć. Stał za jej plecami. - Wiem, że jesteś przekonana o swojej racji, C. J. , ale wątpię, czy zdajesz sobie sprawę, że...

- Zdaję sobie sprawę. - Odwróciła się i cofnęła o krok, na bezpieczną odległość. - Dałeś słowo, Garrett. I podpisałeś kontrakt.

- W porządku! - Jego oczy zapłonęły gniewem. - Jeśli naprawdę tego chcesz, pobierzemy się. Mam znajomego sędziego. Umówię się z nim na popołudnie i sprawa załatwiona.

Wyciągnął nagle ręce i chwycił C. J. za ramiona. Mierzył ją zimnym wzrokiem, zmuszając, żeby spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale pod jednym warunkiem, kochanie. Nie chcę, żebyś się zakochała. Nie będziemy zmieniać reguł gry. Skoro wszystko zostało powiedziane, dobijemy targu. Ale żadnych wyznań miłosnych wzdychań, kwiatów! Żadnych podchodów, rozmów o naszych uczuciach. Kontrakt tego nie przewiduje. Obiecałem twojej ciotce, że dam z siebie wszystko, żeby być dobrym mężem. Ale nie mogę dać tego, czego we mnie nie ma... Jestem taki, jaki jestem, C. J. , ani gorszy, ani lepszy. I ani myślę się zmieniać. Jeżeli zaczniesz coś do mnie czuć, będziesz cierpiała, rozumiesz?

Za późno, pomyślała. Będę cierpiała, ale to nie twoja sprawa.

- Tak... rozumiem.

- I żadnych oddzielnych sypialni. Po ślubie śpimy razem. Będę się starał, C. J. cholernie się starał, żeby to wyszło jak najlepiej, tak jak obiecałem, ale musisz mi pomóc. Potrzebuję tego, rozumiesz? Nie zgadzam się na małżeństwo na niby. Albo będzie prawdziwe, albo go w ogóle nie będzie. Zrozumiałaś?

- Tak... - szepnęła cicho, zastanawiając się, czy Garrett wierzy w to, co mówi... Czy wierzy, że słowami sprawi, że ich nieprawdziwe małżeństwo stanie się prawdziwe?

- Powiedz mi tylko jedną rzecz... - głos Garretta stracił nagle szorstkość. - Powiedz, dlaczego decydujesz się na tak ryzykowny krok. Wiedząc, że cię nie kocham. Znając prawdę.

Chciałaby mu powiedzieć: dlatego, że ja cię kocham, i dlatego, że mam nadzieję...

- Dlatego, że kiedyś trzeba dorosnąć i pożegnać się z marzeniami. Takie jest prawdziwe życie.. Niewiele o nim wiem. Żyłam pod kloszem na wyspie szczęścia. Dlatego właśnie Bertie wynajęła ciebie. Uważa, że sama nie poradzę sobie z rzeczywistością.

- Nie znam nikogo, kto radziłby sobie lepiej niż ty... ze wszystkim - powiedział Garrett, patrząc na nią z niekłamanym podziwem.

- Żyłam jak księżniczka na zaczarowanej wyspie - uśmiechnęła się i odwróciła do okna. - Nie chodziłam nawet do prawdziwej szkoły. Nie utrzymywałam kontaktów z rówieśnikami i wcale za nimi nie tęskniłam. Dorastałam w towarzystwie guwernantek, ciotki Bertie i jej cudownych zwariowanych przyjaciół, średnio o pięćdziesiąt lat ode mnie starszych. A jednak nikt z nich nie traktował mnie jak dziecko, tylko jak małą dorosłą! Możesz to sobie wyobrazić?

- Tak sobie dzieci wyobrażają niebo.

- Istny raj! Masz rację. Uwielbiałam takie życie. Nie znosiłam opuszczać wyspy. Nie lubiłam rówieśników, bo wydawali mi się tacy głupi... No i Bertie zdecydowała, że trzeba coś z tym fantem zrobić. Posłała mnie na rok do prywatnej szkoły.

- Nienawidziłaś jej.

- Boże! - C. J. wybuchnęła śmiechem. - Jak ja jej nienawidziłam! Wydawało mi się, że te wszystkie dziewczynki ze swoimi sekretami, dziwnym językiem... należą do innego gatunku ssaków. Oczywiście nie przyjęły mnie do swojej „dziewczęcej społeczności” i to był najkoszmarniejszy rok w moim życiu. Brrr... Napisałam do Bertie rozpaczliwy list. Biła się z myślami przez kilka tygodni, ale w końcu złamała się. Przyjechała po mnie i odtąd nie ruszyłam się z wyspy ani na krok, aż do czasu nauki w college'u.

- Tam też musiało być ciężko, co?

- Nie tak strasznie... Dalej uchodziłam za dziwaczkę, ale dorosłam trochę, nauczyłam się przystosowywać... W końcu podróżowałyśmy po świecie i nie byłam taką dzikuską, jak ci się wydaje. Zresztą kampus uniwersytecki to nie pensja dla panienek - mieszkało tam mnóstwo wspaniałych ludzi...

Garrett roześmiał się. Po raz pierwszy od dwóch dni, pomyślała C. J. ze ściśniętym sercem.

- A jednak cieszyłam się jak dziecko - powiedziała cicho - kiedy po ukończeniu college'u wracałam do Paradise na dobre. Na wyspie panuje taki spokój. Niby zdawałam sobie sprawę, że to nie może trwać wiecznie, ale... - wzruszyła ramionami. - To miejsce wydawało mi się zaczarowane. Absolutnie bezpieczne. Jak gdyby czas płynął obok.

Wierzyłam, że Bertie i Winthrop nigdy się nie zestarzeją... Niestety - odezwała się po długim milczeniu, zmienionym, matowym głosem - czas nikogo nie oszczędza. Bertie tym razem wróci do domu, ale ataki będą się powtarzać... Nie wyobrażam sobie bez niej... - C. J. zamilkła na chwilę - tego cholernego życia, ale przecież wiem, że to się kiedyś stanie. Zależy jej, żebym wyszła za mąż, nim odejdzie... więc spełnię jej życzenie.

- A ty? - spytał miękko. - Ciągłe mówisz o Bertie, ale czego ty chcesz? Co ty z tego będziesz miała?

- Może nic. Nie wiem, Garrett, będzie, co ma być. W każdym razie nie spodziewam się rzeczy niemożliwych. - Z uśmiechem na ustach wstała i wyszła z pokoju.

Kłamstwo. Pragnęła jego miłości, przyjaźni, tkliwości... Chciała budzić się w nocy i słyszeć bicie jego serca. Marzyła o wszystkich tych niemożliwych rzeczach, których się nie spodziewała...

Ale wydrze życiu tyle, ile się da.

Dzięki Bertie przez wiele lat żyła jak w cudownym śnie, ale pamiętała, że to tylko sen. Zanim trafiła na rajska wyspę, poznała rzeczywistość od najgorszej strony. Niczego nie zapomniała... W prawdziwym życiu zdarza się i tak, że czteroletnie dziecko zasypia szczęśliwie w swoim łóżeczku, a rano budzi się jako sierota. Nie miała żadnych złudzeń. W głębi duszy nadal była małą dziewczynką, która bała się obudzić w pustym pokoju.

Dlatego wyjdzie za Garretta... zamiast marzyć o szalonej miłości pirata Kildonana.

Trzy dni później - w obecności sędziego oraz Winthrupa - Garrett David Jameison poślubił Chasrity Jane Carruthers, odmieniając swoje życie na zawsze.

Po krótkiej ceremonii C. J. z Winthropem pojechała do szpitala, a Garrett, najbardziej ze wszystkich przejęty, udał się do opuszczonego biura, żeby popracować. Dopiero w drodze do domu dotarło do jego świadomości, że w dzień własnego ślubu, poza sakramentalnym „tak”, nie zamienił z żoną ani jednego słowa. Nie wiedział nawet, czy zastanie ją w swoim mieszkaniu, czy C. J. spędzi z nim noc poślubną... i czy on sam tego chce.

Kiedy wszedł do mieszkania, uderzył go w nozdrza zapach pieczonego kurczaka. Dalej nie był pewien, czy czuje ulgę, czy raczej niepokój.

- Cześć, kochanie, witaj w domu.

- Och! - Wyglądała na przerażoną. - Przepraszam, próbowałam czuć się jak u siebie...

- Rozluźnij się, C.J - roześmiał się pogodnie. - Dla mnie to też coś nowego.

- Uhm...

- O rany, nie zadałem ci najważniejszego pytania: czy umiesz gotować?

- Nie zadałeś mi też wielu innych pytań. Ale... co ja chciałam powiedzieć... nie wiedziałam, czy pójdziemy do restauracji, czy zjemy obiad w domu. Wyjęłam jakąś kurę z zamrażarki i włożyłam ją do piecyka. Swoją drogą... chciałam wyjść po zakupy, ale facet pilnujący budynku zatrzymał mnie i powiedział, że musisz do niego zadzwonić. Tłumaczyłam, że jestem twoją... że jesteśmy małżeństwem, ale oczywiście wcale mi nie uwierzył. Więc wołałam nie ryzykować...

- Cholera! - Garrett złapał się za głowę. - Ale ze mnie dureń. Przepraszam. Jutro wszystko załatwię. Pójdziemy też do banku otworzyć wspólny rachunek, no i trzeba wpisać cię na moje karty kredytowe... Cholera, najważniejszy jest pełnomocnik prawny! Gdyby mnie jutro potrafił autobus...

- Ja też zadzwonię do mojego pełnomocnika - powiedziała cicho - na wypadek, gdyby to mnie potrafił autobus. Powinien wiedzieć, że jestem... że mam męża.

Garrett ni stąd, ni zowąd zaniósł się nerwowym śmiechem.

- Pojęcia nie miałem o tych wszystkich komplikacjach!

- Muszę wyrobić sobie nowe prawo jazdy, jeśli zmienię... Właśnie. Nie rozmawialiśmy o nazwisku.

- Nazwisku?

- Moim... nazwisku. Wolisz, żebym zachowała swoje, czy...

- Kotku, dopiero dzisiaj dowiedziałem się, że C. J. to takie długie imię, a ty już mówisz o nazwisku... - próbował żartować, ale oboje mieli coraz bardziej ponure miny. - Wiesz co? - położył dłonie na jej ramionach. - Jeżeli chcemy, żeby to jakoś... wypaliło, musimy zwolnić tempo, dobrze?

Pocałował ją w policzek. C. J. pachniała lawendowym mydłem i gdyby nagle nie odsunęła się od niego... Kto wie, może zgasiłby piecyk i zaniósł ją do sypialni.

Jedli w milczeniu, przy zapalonych świecach, nie siląc się nawet na rozmowę. Oboje wiedzieli, że myślą o tym samym. Wcześniej czy później pójdą do łóżka....

Deser, kawa, wszystko w zwolnionym tempie, potem wspólnie pozmywali talerze, wypili kawę... Garrett przypomniał sobie o niecierpiących zwłoki telefonach. Zniknął w swoim gabinecie, a C. J., zagubiona i samotna, zaczęła błąkać się po wielkich, nieprzytulnych pokojach, które nie miały żadnego charakteru ani przeznaczenia. Pustka i chłód... To był jej nowy dom.

Zatęskniła do Bertie i Winthrupa, ujadającej sfory psów oraz niani - kucharki. Do cieplej i przyjaznej atmosfery. Skuliła się i zaczęła płakać. Szlochała cicho, patrząc na migoczące światła Miami.

Opanowała się w końcu i zdecydowanym krokiem poszła do łazienki. Kąpiel nie sprawiła jej przyjemności. Włożyła koszulę, a potem, dziwnie zubożniała, usiadła przy toalecie, żeby wyszczotkować włosy.

Nie o tym marzyłaś, prawda? spytała bladej, przerażonej twarzy w lustrze. Twoja noc poślubna miała być cudowna... Upojna! Skrzywiła się i odwróciła z niesmakiem głowę. Koniec. Żadnych łez, westchnień, rozmów o miłości... Słowo się rzekło.

W sypialni panowała głucha cisza. C. J. leżała w ogromnym łóżu Garretta, samotna i zmarznięta, wsłuchana w bicie własnego serca... Chcę wrócić do Paradise, pomyślała zrozpaczona. Obudzić się z tego koszmarnego snu we własnym domu na wyspie...

Musiała zapaść w drzemkę, bo kiedy otworzyła oczy, Garrett stał nad jej głową. Patrzył jakoś dziwnie - na wpół zdziwionym, na wpół złęczonym wzrokiem, jak gdyby ostatnią rzeczą, której się spodziewał, był intruz w jego łóżku...

Nie powiedział ani słowa. Zmarszczył lekko czoło, odwrócił się na pięcie i w drodze do łazienki zaczął rozpinąć koszulę. Kiedy zniknął za drzwiami, C. J. wydało się, że czas stanął w miejscu.

Z ulgą zobaczyła, że wraca w slipkach... Niestety.

Usiadł na brzegu materaca i rozebrał się do naga. Zgasił lampkę i wśliznął się łóżka.

Na szczęście nie odwrócił się do niej od razu, nie próbował nawet dotknąć swojej dziś poślubionej żony. Skamieniała, zawieszona w próżni czasu, czekała... Usłyszała ciche przekleństwo. Wypowiedział je niemal czułym szeptem, potem powtórzył głośniej... Gwałtownym ruchem odwrócił się i objął C. J. ramieniem. Wsparty na łokciu, patrzył na nią przez chwilę... i delikatnie pocałował w usta.

Udawała, że jest gotowa. Mruczała, gładziła jego plecy, próbując przypomnieć sobie i swojemu ciału, co wtedy czuła... Jej dłonie posuwały się coraz niżej, do pośladków, gładziły biodra i brzuch Garretta...

- Przestań. - Chwycił ją za nadgarstek i opadł na plecy.

- Przepraszam... myślałam, że...

- Nic z tego nie będzie - powiedział szorstkim, zmęczonym głosem. - Nie w ten sposób. Nie chcę, żebyś udawała.

- Myślałam, że chciałeś...

- Chciałem czegoś więcej niż krótkiej obłapianki pod kołdrą.

- Przepraszam... - wyszeptała, połykając łzy - jestem zdenerwowana i dlatego...

- Nie. Słabo ci się robi na samą myśl, że miałbym cię dotknąć.

- Garrett, to nie tak...

- Daj spokój. Jestem wściekły na siebie. Od początku było wiadomo, że to niemożliwe... Spróbujemy się teraz przespać i po prostu zapomnieć... Wygodniej ci będzie w oddzielnej sypialni. Możesz się zamknąć od wewnątrz, żeby...

- Zamknąć? Na miłość boską, dlaczego miałabym się zamykać? Co ci chodzi po głowie? Chcesz się mnie pozbyć, czy może trzymać... w napięciu?

- Przestań, C. J. Wiesz, o co mi chodzi.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo. Postawiłeś przecież sprawę jasno: małżeństwo - pod warunkiem, że łóżko będzie nam służyć nie tylko do spania.

- Chodzi o to - wycedził przez zaciśnięte zęby, że... to niesmaczne. Czuję się jak... cholera, sam nie wiem. Lubię świadomość, że dziewczyna idzie ze mną do łóżka, bo tego chce, a nie musi!

- Jesteśmy małżeństwem - powiedziała lodowatym tonem po chwili milczenia. - To ty postawiłeś warunek...

- Nie, C. J. , nie będę tego robić - jesteśmy czy nie jesteśmy małżeństwem... Ani tej nocy, ani żadnej innej. Nie mam zamiaru cię... gwałcić, nawet jeśli mnie zachęcasz. Poczekam, aż zechcesz się ze mną kochać.

- Przepraszam, Garrett... I dziękuję.

- Nie mów tak, C. J. Pragnę cię... nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę - uśmiechnął się niepewnie - ale nie chcę kochać się z tobą w ten sposób.

- W takim razie... dobranoc - szepnęła. - Zobaczymy się rano.

- Tak. - Ukrył twarz w dłoniach i czekał, aż drzwi sypialni zamkną się za C. J. - Zobaczymy się rano.

Śniło mu się, że przyszła do jego łóżka, naga i roześmiana. Jej usta szukały jego ust, ręce dotykały go coraz śmielej i zachęcały do pieszczot... Nagle pojawiła się przepaść, w którą wpadli oboje. Obudził się z uczuciem obezwładniającego lęku. Otworzył oczy.

Stała przy łóżku, drżąca i zapłakana. Czekala jeszcze chwilę, a kiedy uniósł kołdrę, wreszcie wśliznęła się pod nią i zaniósła rozpaczliwym szlochem.

- Boję się, Garrett! Jestem przerażona... Jeżeli stracę Bertie... Nie mam nikogo, tylko ją...

- Masz mnie - szepnął jej do ucha. - Na zawsze, C. J. - Przygarnął ją do siebie i zaczął kołysać jak dziecko. Kiedy rozgrzewał stopami jej lodowate nogi, poczuł, że jej oddech się uspokoił. Zasnęła. To tylko koszmarny sen, pomyślał. Rano nie będzie niczego pamiętała i jeszcze każe mu się tłumaczyć... Trudno.

Zasypiał, kiedy C. J. przeciągnęła się. Westchnęła cicho. Przygotowany na jej wybuch, otworzył oczy i czekał. Ale ona przesunęła tylko rękę i przytuliła się do niego jeszcze mocniej... Może mu się wydawało. Może śpi.

Przebiegł palcami po jej kręgosłupie. Cichutko mruknęła. Bardzo powoli, sennym ruchem, oderwała dłoń od jego ramienia i dotknęła szorstkiego policzka. Nie protestowała, kiedy dotknął jej warg.

Rozchyliła usta i wyprężyła się. Dygotał, czując dotyk jej kruchych palców, które gładziły jego biodra i pośladki, niecierpliwie, jakby nadrabiając stracony czas.

Rozsunął jej ciepłe uda i zaczął gładzić je w identycznym rytmie.

- Kochanie, jeśli chcesz, żebym przestał... powiedz teraz...

- Teraz? - zaśmiała się sennym, ochrypłym głosem. - Nie mówisz tego poważnie...

- Śmiertelnie poważnie. C. J., malutka, możesz mnie powstrzymać teraz albo nigdy...

- Nigdy - szepnęła, unosząc gwałtownie biodra. - Nigdy, kochany, nigdy... nie teraz...

Nie mów już nic, błagam!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ludzie! Ktoś tu chyba oszalał! - Oczy Bertie iskrzyły się udawanym gniewem. - Po co, na miłość boską, miałabym wychodzić za Winthrop! O mały włos nie rozstałam się z życiem, ale to nie znaczy, że straciłam rozum!

- Bertie - ciągnęła spokojnie C. J. - najwyższa pora, żeby Winthrop zachował się jak człowiek honoru. Żebyś mu na to pozwoliła... Wodziłaś go na pasku przez dwadzieścia lat. Wydaje ci się, że to w porządku?

- Jestem za stara na małżeństwo.

- Winthrop jest za stary - C. J. podniosła głos. - Za stary, żeby skradać się do twojej sypialni jak kilkunastoletni szczeniak. To także poniżej ludzkiej godności. Nie mówiąc o tym, że niebezpieczne! Któregoś dnia spadnie z tych ciemnych schodów i dopiero będziesz miała się z pyszna.

- Winthrop nie jest niedołągą - syknęła Bertie.

- Kochasz go, prawda?

- Czy w żadnej z tych ekskluzywnych szkół, do których cię posyłałam - nie licząc się z kosztami - nie nauczyli cię, że nie zadaje się ludziom tak niedyskretnych pytań?

- Ty mnie także nie nauczyłaś. Ale dajmy temu spokój - kochasz go czy nie?

- Lubię go... - Bertie wzruszyła nieśmiało ramionami.

- Tylko go lubisz?

- W porządku, niech ci będzie! No więc kocham tego starego łajdaka i pewnie wydaje ci się, że to niesmaczne. Zakochana staruszka, co? A jednak... Przyznaję się. Zadowolona?

- Myślę, że to cudowne. - C. J. uśmiechnęła się radośnie. - On cię uwielbia. Ale nie rozumiem, dlaczego nie pobraliście się wiele lat temu. Mogliście żyć normalnie...

- Myśleliśmy, że to chwilowe zaślepienie. Mijały lata, a my wciąż wierzyliśmy, że nam przejdzie i wszystko wróci do normy. Pamiętaj, że... cokolwiek by mówić, Winthrop jest moim lokajem. A nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodzi za lokaja z powodu krótkiego uniesienia.

- Jeżeli „krótkie uniesienie” trwało dwadzieścia trzy lata, to chyba warto je potraktować poważnie, nie sądzisz? Bertie, on tu za chwilę przyjdzie. Mam nadzieję, że namówisz Winthrop, żeby poprosił cię o rękę.

- Zastanowię się. C. J. skinęła głową, myśląc o trudniejszej części rozmowy. Jak powiedzieć Bertie o ślubie, żeby uwierzyła w bajeczkę o ich miłości...

Miała ochotę rozplakać się jak dziecko i powiedzieć jej całą prawdę. Że cierpiała. Że po ostatniej nocy wszystko stało się jeszcze trudniejsze. Nieznośne!

Małżeństwo z człowiekiem, którego się ni kocha, jest zawsze smutne, ale kochać kogoś bez wzajemności, żyć z nim, patrzeć mu codziennie w oczy - to koszmar!

- Bertie - powiedziała najspokojniej jak potrafiła - muszę ci o czymś powiedzieć.

- Dobrze - starsza pani zmarszczyła czoło - ale najpierw ja ci coś powiem.

- To ważne...

- Później, C. J. Mnie się bardziej spieszy, bo nigdy nie wiadomo, kiedy jeden z tych szarlatanów skróci moje cierpienia!

- Bertie! Czy mogłabyś przestać...

- Przepraszam, kochanie - pogłaskała C. J. po dłoni. - Wiem, jak cię wystraszyłam tym atakiem. Powinnam była się przyznać do kłopotów z sercem... Willerson wkładał mi do głowy, że narażam cię na szok, tłumaczył jak dziecku, ale znasz mnie! Przepraszam. To jest właśnie mój problem. Zawsze wszystko wiem najlepiej. Musiałam być okropną jędzą przez te wszystkie lata... Uszczęśliwiałam cię na siłę, bo mam paskudny charakter...

- Okropną? Czy ty oszalałaś, Bertie? Jesteś cudowna!

- A ty jesteś okropną kłamczucha, moje dziecko. Robiłam, co mogłam i może nie było tak źle. Jadłaś smakołyki, nie chodziłaś goła, ale co to za dzieciństwo: dziewczynka na odludnej wyspie, z bandą zwariowanych starców...

- Bertie, byłam w siódmym niebie! Rzeczywiście, zaczęłam grać w pokera w wieku dziewięciu lat, a jak skończyłam dziesięć, klęłam jak szewc. Dwa lata później spróbowałam alkoholu i papierosów. Ale słuchałam rozmów twoich zwariowanych starców: o literaturze, polityce, filozofii... Wyobrażasz sobie lepszy uniwersytet? Chłonełam wiedzę w najlepszym gatunku, w zupełnie bezbolesny sposób.

- Lepiej mnie wysłuchaj - powiedziała Bertie oschłym tonem - zanim zafundujesz mi aureolę, na którą nie zasłużyłam. Muszę ci wyznać coś okropnego. C. J. poczuła bolesny skurcz w żołądku.

- Zawarłam układ z Garrettem Jameisonem... Obiecałam mu kontrolny pakiet Parsons Industrial, jeśli się z tobą ożeni. Wiem, że to świństwo... teraz... ale byłam przerażona, C. J. Nie wierzyłam... Niech mi Bóg wybaczy, ale nie mogłam sobie wyobrazić, że zostaniesz sama. No i martwiłam się o koncern. Do głowy mi nie przyszło, że potrafisz poprowadzić firmę. Teraz wiem, jak sobie radziłaś i wiem, że to ty powinnaś zastąpić Emmetta Royce'a. Wyrosłaś na wartościową, znakomitą, samodzielną kobietę, C. J. i mam tylko nadzieję, że mi wybaczysz.

- Powinam ci coś powiedzieć, Bertie.

- Poczekaj, kochanie. Skończę swój rachunek sumienia. Aranżowanie małżeństwa z człowiekiem, który cię nie kocha, to najpodlejszy pomysł w moim życiu! Mogłam cię skrzywdzić, C. J., tak, nie przerywaj! Wiem, że jesteś w nim trochę zadurzona... i nic dziwnego, ale z jego strony to była tylko gra, dziecino. Wynajęłam go, żeby cię oczarował i rozkochał, ale przecież nie mogę umrzeć ze świadomością, że zmusiłam moją Chastity do małżeństwa bez miłości!

C. J. zakręciło się w głowie. Usiadła ciężko na łóżku, szukając w oczach Bertie ratunku.

- Słucham...?

- Wiem, wiem, trzeba być czarownicą, żeby tak namącić. Ale wierz mi - małżeństwo z Garrettem Jameisonem to ostatnia rzecz, jakiej chciałabym doczekać. Nigdy bym sobie nie wybaczyła... Strasznie się bałam, kochanie, że on wykorzysta sytuację i namówi cię do ślubu, zanim wyjdę ze szpitala.

- O Boże... - C. J. poczuła, że robi jej się słabo, a całe ciało oblewa zimny pot... Pokój zawirował. - O Boże...

- Jesteś biała jak ściana... C. J. Tak mi przykro! Wybacz mi, proszę. Nie zrobiłam tego, żeby cię zranić, chciałam tylko...

- Dosyć! - C. J. podniosła rękę. - Nie wierzę... Po prostu nie wierzę...

- Wiem, że jesteś na mnie wściekła, C. J. Oczywiście powiem Garrettowi, że zrywam umowę. Przy najbliższej okazji.

- Oczywiście. Garrett... Jak ona mu o tym powie?!

- A więc, kochanie, co chciałaś mi zakomunikować?

- Nic ważnego, Bertie. Już zapomniałam... Wiesz co? Zdrzemnij się teraz, ja wyjdę na godzinę, a potem możemy gadać do wieczora.

Garrett stał przy otwartej lodówce, nie mogąc się zdecydować, na co ma ochotę, kiedy do przedpokoju weszła C. J.

- Nie miałabyś dzisiaj ochoty na chińszczyznę? - spytał. - Wypadło mi z planu jedno spotkanie, więc moglibyśmy zjeść w domu...

- Muszę z tobą porozmawiać.

- O co chodzi? - Wyraz twarzy C. J. przyprawił Garretta o skurcz w żołądku. - Coś z Bertie...?

- Musisz zadzwonić do sędziego, który udzielił nam ślubu. Trzeba załatwić unieważnienie małżeństwa. Jak najszybciej, zanim Bertie dowie się, co zrobiliśmy.

Patrzył na nią osłupiały, jakby nie rozumiał ani słowa. Na pewno się przesłyszał.

- Koniecznie unieważnienie, a nie rozwód, żeby się nigdy nie dowiedziała. Zresztą z formalnego punktu widzenia ten ślub...

- Czyś ty oszalała? - zawołał. - Wszystko odbyło się jak należy. Z formalnego punktu widzenia temu ślubowi niczego nie brakowało. Jesteśmy małżeństwem. I to, o ile pamięć cię nie zawodzi, z prawdziwą rozkoszą skonsumowanym.

- Nie, pamięć mnie nie zawodzi. - C. J. zaczęła krążyć po kuchni. - Masz rację, tylko że Bertie zmieniła zdanie. Powiedziała, że popełniła błąd, kajała się przez godzinę... jednym słowem: nie chce, żebyśmy byli małżeństwem. Musimy je unieważnić...

- Nie - powiedział Garrett stanowczo. - Nie będę niczego unieważniał.

- Ale dlaczego? To chyba nic trudnego. Poprosimy twojego przyjaciela, żeby anulował nasze małżeństwo.

- Poprosimy przyjaciela, żeby anulował nasz ślub, powiadasz? - zakpił lodowatym tonem.

Byłoby to nawet śmieszne, pomyślał dotknięty do żywego Garrett, gdyby nie było takie smutne.. Gdyby C. J. nie mówiła tego poważnie.

- Och, Garrett, proszę! Wiem, że to szaleństwo, ale twoja umowa z Bertie, od której wszystko się zaczęło, była nie mniej szalona. - C. J. przeczesła palcami włosy, potem zatrzymała ręce na skroniach. - Boże, sama nie wiem, dlaczego w to zabrnęłam. Nawet Bertie ruszyło sumienie...

Mówiła bardziej do siebie niż do Garretta, chodząc od ściany do ściany, a jemu ciarki przechodziły po plecach... Szaleństwo? Miała rację, ale popełnili je wspólnie, a teraz ona chce „anulować to szaleństwo”, bo ciocia zmieniła zdanie.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć. Ani sędzia, ani Winthrop nie powiedzą Bertie...

- My wiemy - powiedział Garrett niskim wibrującym głosem. - Obudź się, C. J. Wiemy o tym oboje.

- Pomyślał o ostatniej nocy, kiedy przysięgłby, że stali się jednym ciałem, jednym bijącym sercem i jedną duszą...

- Ale żadne z nas nie chciało tego małżeństwa...

- Spojrzała na niego z bezbrzeżnym zdziwieniem.

- A czy to znaczy, że go nie zawarliśmy, że nic się nie zmieniło?

- Popełniliśmy błąd, Garretcie. Oboje. Mamy szansę zacząć wszystko od nowa, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

- Może popełniliśmy błąd - wycedził powoli - ale coś się wydarzyło. I żadne anulowanie nie zmieni tego faktu.

- Nie rozumiem jednak, dlaczego jesteś taki wściekły... Szczerze mówiąc, myślałam, że właśnie ty się ucieszysz.

- Ucieszę? Z tego, że traktujesz mnie jak słonia cyrkowego? Na jedno klaśnięcie się pobieramy, na dwa unieważniamy małżeństwo?

- Wiem, że to tak wygląda... Przepraszam, Garretcie, naprawdę próbuję wyzwolić nas oboje z tarapatów. Nieważne teraz, kto zawinił bardziej... Nie kochasz mnie, powiedziałaś mi to wprost, a ja zdecydowałam się na ślub dla Bertie... Nasze małżeństwo, wcześniej czy później, skończyłoby się klęską...

- Jeżeli jesteś tego pewna... C. J. skinęła szybko głową i odwróciła się bez słowa.

- Zadzwoń do Cartwrighta jutro rano - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Prześpię się dzisiaj w hotelu.

- Nie musisz. Za godzinę odlatuję do Fort Myers. Muszę przywieźć Bertie jakieś drobiazgi, odebrać pocztę, pozatwierać różne sprawy.

- Kiedy wrócisz?

- Jutro po południu. Zadzwoń do ciebie.

- W porządku. - Stał nieruchomo, wpatrzony w nią, zastanawiając się, jak to możliwe... Miał uczucie, że w tej jednej chwili traci wszystko, co się liczyło, wszystko, czego kiedykolwiek pragnął. - Poproszę Cartwrighta, żeby załatwił to jak najszybciej - uśmiechnął się ironicznie. - Sądzę, że anulowanie naszego małżeństwa nie zajmie mu więcej czasu niż ślubna ceremonia.

- Tak... to chyba już wszystko. Wszystko? Przewracasz do góry nogami całe moje życie, potem nagle odchodzisz, bo ciocia zmieniła zdanie... Niech cię diabli, C. J.

- Tak, chyba tak. Do zobaczenia, C. J. Uważaj na siebie.

Lord Jamie Kildonan, pirat i kawał zbója, patrzył na nią z obrazu oskarżycielskim wzrokiem. Krzaczaste brwi, zacięte usta...

Co taka Chastity mogła w nim widzieć? Arogancki, nachalny, bezczelny typ. Śmiał się z czułości, nie przesadzał z dobrymi manierami. Był panem samego siebie i uwielbiał rządzić innymi. Uparty jak osioł, kłótlivy i wymagający, nigdy się nie poddawał, nikomu nie schodził z drogi. Brał ją do łóżka, kiedy chciał, i kiedy chciał, odchodził. Bez ceregieli i obietnic. Nie obsypywał jej prezentami, niczego mu nie zawdzięczała, poza złamanym sercem i udręką. A jednak kochała go nad życie, bałwochwalczo, całą swoją duszą. Ach, ci mężczyźni!

C. J. zagryzła wargi. Zdjęła portret ze sztalugi i wcisnęła go za biurko. Była zmęczona. Miała dość spojrzenia Kildonana, które śledziło ją ze wzgardą.

Znów zaczęła płakać! Nie mogła już znieść swojej zapuchniętej twarzy. Ilekroć wracała do Paradise, całymi godzinami potrafiła błąkać się z kąta w kąt i tonąć we łzach.

Jak długo można cierpieć z miłości! Wiedziała, że to uczucie beznadziejne, wynajdywała tysiąc logicznych argumentów, żeby pozbierać się i wrócić do normalnego życia, magiczne słowo „rozsądek” wymawiała jak cudowne zaklęcie... Nie pomagało.

Rzuciła się w wir pracy. Sprzątała, myła podłogi, odkurzała dywany, katalogowała swoje książki. Potem przyszła kolej na płyty, wideokasety, papiery... A jutro? Następnego dnia wybierze się do Fort Myers. Zje lunch w dobrej restauracji, kupi sobie jakiś fajny ciuch, a w domu otworzy butelkę najlepszego wina, przygotuje pachnącą kąpiel i... Co dalej?

Za oknem zbierało się na burzę. Deszcz zaczął coraz mocniej, wiatr od morza kołysał największymi drzewami. C. J. podeszła do okna, żeby je zamknąć, i wychyliła się na zewnątrz... Omal nie zemdląła. Przed drzwiami stał Garrett Jameison, z głową zadartą w górę, jakby czekał tu od dawna... Oczywiście.

- Otwórz! Chcę z tobą pomówić! - Nie słyszała ani słowa, ale była pewna, że tak właśnie krzyczał.

Serce podeszło jej do gardła. Pokręciła głową, pokazując, że Garrett powinien odejść, że go nie wpuści, modląc się, żeby nie zobaczył łez na jej policzkach. Co on, do diabła, tu robi! Usłyszała głośnie walenie do drzwi. Spojrzała na nie przerażona. Musiała podejść i coś powiedzieć...

- Odejdź! Jestem zajęta! - Zawstydzona się tych głupich słów i wpadła w jeszcze większy popłoch.

- C. J. ! Muszę z tobą porozmawiać! Otwórz, bo utonę w tym cholernym deszczu!

To się nazywa fart! Zaciśniętą pięścią uderzyła w ścianę. Wyglądała jak sto nieszczęść, z potarganą szopą na głowie, oczami spuchniętymi od płaczu...

A on musiał wybrać właśnie ten dzień! Wystarczy mu jedno spojrzenie i nie będzie o czym rozmawiać. C. J. przecież wszystko ma wypisane na twarzy... Przecież ostrzegła ją, żeby się nie zakochała! Że będzie cierpiała. „A nie mówiłem?” - od tego się zacznij i na tym się skończy ich rozmowa.

- Powiedziałam, że jestem zajęta! Idź do domu Bertie, przyjdę do ciebie później... - wstrzymała oddech.

Usłyszała kilka gniewnych mruknięć, a potem zapadła cisza. Czekwała jeszcze minutę albo dwie i dopiero wtedy odetchnęła z ulgą.

Oczywiście, że nie przyjechał specjalnie do niej, tylko do biura. Bertie wróciła wczoraj do domu, pewnie muszą uzgodnić wiele spraw... Będzie go przekonywała, żeby został w Parsons Industrial mimo zerwania umowy, ale mało prawdopodobne, żeby Garrett się zgodził.

C. J. przelykała kolejne porcje łez, zastanawiając się, ile czasu zajmie jej zrozumienie, że miała dużo szczęścia w nieszczęściu, wychodząc z tej matni obronną ręką. Że ich małżeństwo z rozsądku stałoby się piekłem - wcześniej czy później. Jak długo potrafiłaby udawać, że nic do niego nie czuje? Ile lat znosiłaby upokorzenie nie odwzajemnionej miłości? Czego tu żałować!

Ktoś - lub coś - uderzył w drzwi z taką siłą, że zadrżały wszystkie okna. Po następnym uderzeniu C. J. nie miała wątpliwości, kim jest intruz.

- Otwórz natychmiast, bo wywalę te cholerne drzwi razem z futryną!

Otworzyła.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Czego ty naprawdę chcesz? - cofała się z zapartym tchem, patrząc w dzikie, płonące gniewem oczy... pirata Kildonana.

- Naprawdę chcę ciebie... Jesteś moją... całkiem legalną żoną. Nie mam zamiaru rezygnować z ciebie tak łatwo, C. J. Nie bez walki. - Przyciągnął ją gwałtownie do siebie. Oczy mu pociemniały, a napięte wargi odsłaniały białe zęby.

Zdrętwiała, kompletnie oszołomiona, nie stawiała żadnego oporu. Przydusił ją swoim ciałem, przylgnął brutalnie do półotwartych ust i wbił w nie sztywny język - nie prosząc o wzajemność, nie torując sobie łagodnie drogi. Odsunął się, żeby złapać oddech...

- Wiem, że mnie nie kochasz, ale w końcu nie dałem ci szansy. Oboje nie daliśmy sobie żadnej szansy. - Uśmiechnął się niespodziewanie, jakby do własnych myśli. - Nawet Chastity dała Jamie'emu szansę, C. J. Tylko o to cię proszę. Zgodzę się na to unieważnienie, jeśli naprawdę tego chcesz - ale najpierw spróbujmy. Dajmy sobie szansę na miłość. Błagam.

- Ale ja cię kocham - powiedziała cicho, lekko drżącym głosem.

- Ty...?

- Tak.

- Ale ja... ty... - Garrett wsunął palce we włosy C. J. i zamknął oczy. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Wymusiłeś na mnie obietnicę, że nigdy się w tobie nie zakocham. I że nie będziemy rozmawiać...

- Boże, przestań... Odkąd to zwracasz uwagę na każdą głupotę, która wymknie mi się z ust... Nie wiedziałem, o czym mówię...

- Ale mówiłeś to bardzo dobitnie, Garrett. To nie była głupota, która ci się wymknęła.

- Z twarzy C. J. znikło nagle napięcie. Uśmiechnęła się przewrotnie. - Chcesz mi poradzić, żebym od dzisiaj nie wierzyła w ani jedno twoje słowo?

- Nie. Powiem ci, w co możesz wierzyć na pewno. Po pierwsze, przy tobie czuję się jak szczęśliwe dziecko, a bez ciebie... w ogóle niczego nie czuję. Od kiedy wyjechałaś, przestałem pracować. Nie mogę się na niczym skupić, wymyślam zaklęcia, które potrafiłyby cię sprowadzić z powrotem... Kiedy zamykam oczy, widzę ciebie. W łóżku marzę o tobie... C. J. .. - uniósł ręką jej podbródek. - Teraz wyznam ci całą... zastraszającą prawdę. Jedyne, na czym ni zależy w tym zakochanym życiu, to budzić się przy tobie rano, dzień w dzień, bez żadnych niespodzianek, do końca dni moich... Kochać się z tobą, mieć z tobą dzieci.

- Och! Mam wierzyć w całą tę litanię?

- To nie wszystko. Mógłbym przejść do szczegółów... - Garrett nagle spowaźniał. - Prawdą jest i to, że się bałem, C. J. Gwałtowne uczucia wydawały mi się niezdrowe, kojarzyły wyłącznie z kłopotami. Zgodziłem się na układ z Bertie, bo... miałem nadzieję, że małżeństwo z rozsądku zapewni mi święty spokój, że nigdy nie będę się miotał jak mój ojciec. A kiedy już zorientowałem się, że wpadłem jak śliwka w kompot, próbowałem cię odepchnąć. Nie udało mi się. Teraz myślę tylko o tym, żeby cię nie stracić.

- Kocham cię - C. J. powiedziała to dobitnie, dotykając mokrego policzka Garretta.

- Czy sądzisz, że Bertie wyczuła pismo nosem... wiedziała, że tak to się może skończyć?

- Jestem pewna.

- Miała rację w sprawie ojca i Krystal. - Skrzywił się nieznacznie. - Ty też. Ona go naprawdę kocha.

- Rozmawiałeś z ojcem?

- Tak. Przyjął mnie zimno, to Krystal załagodziła sprawę. Zabawne... Szczęście uśmiechnęło się do nas obu jednocześnie. Dzięki niemu zresztą zrozumiałem, że szczęściu trzeba pomóc. Jeśli spadnie ci z nieba, nie wystarczy na nie patrzeć. Trzeba umieć je rozpoznać, a potem mocno chwycić.

- Garretcie Jameison, czy jesteś pewien, że rozpoznałeś swoje szczęście i że chcesz je mocno chwycić?

- Oburącz! - szepnął. Spojrzała mu w oczy i wtedy lekki, ciepły uśmiech nadał jego twarzy wyraz przejmującej czułości, a ona zrozumiała, że odtąd jej życie zmieniło nieodwracalnie swój bieg.

- Kocham cię - szepnęła. - Czy mogę to powtarzać codziennie?

- Dwa razy dziennie. C.J, ja...

- Wiem. To nie powinno być takie trudne.

- Właśnie że powinno. Jeśli to coś naprawdę znaczy, powinno być najtrudniejszym słowem do wymówienia.

- Jest. I znaczy. Westchnął ciężko.

- C. J. , kocham cię. - Zaśmiał się nagle radośnie, nieco obłąkanym śmiechem. - To wcale nie jest trudne! C.J, kocham cię. Kocham, kocham, kocham!